

Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 116 (Rok VII, Nr 11)

Listopad, 1947

Cena (Price) 2/-

PLANY KOMUNISTÓW

SYTUACJA polityczna w Kraju zaczyna wchodzić zwolna w nowe stadium.

Komuniści weszli do Polski jako bardzo nieliczna, choć dobrze wytrenowana grupa. Zastali społeczeństwo zmęczone i rozbite, ale zupełnie obce im nastrojem i poglądami. Polska nie była Rosją z Pierwszej Wojny Światowej, nie była krajem o cienkiej warstwie inteligencji i arystokracji obcej masom ludowym. Była społeczeństwem o niezwykle rozbudzonym poczuciu solidarności narodowej i o niemal nieistniejących przeciwieństwach klasowych. To też przeprowadzenie w niej rewolucji w stylu rosyjskim z rzezią warstwy politycznej było zadaniem przerastającym możliwości komunistów w danej sytuacji światowej. Kompartia poszła na inną metodę. Na metodę okresu przejściowego, potrzebnego dla wychowania w nowym pokoleniu "aktywu" komunistycznego. W tym okresie społeczeństwo należy tylko sparaliżować i ująć w swoją sieć. Jest to okres rozkruszania społeczeństwa.

Mimo posiadania całej władzy materialnej i pełnej swobody metod, zadanie rozkruszenia społeczeństwa pod względem politycznym nie było łatwe. Dzieliło się ono, jako pole bitwy, na dwie części: tę, do której komuniści mieli dostęp przed wojną, i tę, do której nie mieli. Pierwsza z tych części składała się z trzech grup — z socjalistów, ludowców i tzw. inteligencji lewicowej. W socjalistycznych związkach zawodowych czy w O.M.T.U.R. mieli komuniści sporo swoich jacejek. Mimo wojennego przetrzebienia starczyło im jeszcze na tyle kontaktów, by stworzyć fikcję P.P.S. jako swojej partii. U ludowców mieli swoich ludzi w niektórych odłamach *Wici* i dawnego *Wyzwolenia*, ale teren *Piasta* był przez nich znacznie mniej "rozpracowany" niż teren P.P.S. Stworzyli fikcyjne S.L., bardzo jednak słabe. Z inteligencją lewicową trzeba było pójść na pakt, którego symbolicznym wyrazem było zgłoszenie kandydatury Bieruta na "prezydenta

Rzeczypospolitej" przez p. Kołodziejskiego, a zarazem mianowanie tegoż prezesem Najwyższej Izby Kontroli i zastępcą "prezydenta". Założenie przez Mikołajczyka P.S.L. pogmatwało nieco rozgrywkę. Podczas gdy fikcja socjalistyczna zwolna obrastała w ciało, fikcja ludowa pozostała cieniem do czasu. Dwa lata walki z Mikołajczykiem przyniosły jednak sukces: kadra działaczy ludowych została w całym kraju zniszczona, fikcyjne S.L. rozwinęło się nieco, P.S.L. rozbito na trzy grupy, penetracja została dokonana, przeciwnik ludowcowy rozegrany. Sprawa lewicy jest załatwiona jako tako z punktu widzenia komunistycznego. Likwidacja Mikołajczyka jest tu kropką postawioną nad i. Pozostałość P.S.L. zajmuje już pozycję niesamodzielną, — Wycech jest ścisłym odpowiednikiem Cyran-kiewicza. Najgłębszą szkodą jest nie załamanie całkowite linii taktycznej ludowców, lecz tego wszystkiego, co w tym nierównym ruchu reprezentowało charakter.

Nie znaczy to bynajmniej, by wszyscy ludzie z "bloku demokratycznego" byli komunistom oddani. Nie tylko w P.P.S. ale i w tzw. Lewicy P.S.L. na pewno wielu działaczy traktuje kolaborację jako zło konieczne i marzy jakby się od niej wyzwolić. Nie jest jednak ważne, czego by ci ludzie mieli pragnąć, ważne jest, że są postawieni w sytuacji obiektywnej takiej, iż służą celom komunistów. Ten czy ów z inteligentów lewicowych może nawet czasami "brykać", jak np. prof. Kotarbiński, ale i to nie zmienia jego wyznaczonej okolicznościami roli w systemie. Faktem jest, że opozycji jawnej i bardziej masowo zorganizowanej na lewicy już nie ma, a opozycja wewnętrzna nie jest w stanie przeszkodzić ani w polityce bieżącej ani w wychowywaniu przyszłego aktywu komunistycznego.

"Rozpracowanie" lewicy nie daje jeszcze w Polsce panowania nad społeczeństwem. Pozostaje znacznie trudniejsze zadanie zrobienia czegoś z narodowcami, katolikami

i pilsudczykami. Do tych ostatnich istniała kłódka przez niektóre koła inteligencji lewicowej i ta została wykorzystana dla przyspieszenia likwidacji A.K. Podział tego kierunku na kilka grup organizacyjnych i niewygasłe do niego pretensje polityczne w społeczeństwie sprawiały, że problem ten był mniej groźny dla komunistów. Organizacje katolickie chciały rozegrać, wciągając je na płaszczyznę ściśle polityczną, ale hierarchia kościelna nie dopuściła do upartyjnienia katolicyzmu, a próba użycia obłaskawionych "katolików społecznych" dała rezultaty bardzo mizerne. Narodowców uznano za niebezpieczeństwo najbardziej bezpośrednie i od razu wyjęto spod prawa. Ten kurs trwa bez przerwy. Ostatnio, po procesach przedwojennych członków Stronnictwa Narodowego w Krakowie i Poznaniu, odbył się proces największy, zakończony wyrokami śmierci i wieloletniego więzienia. Dotyczył on — jak twierdził akt oskarżenia — Komitetu Ziemi Wschodnich powiązanego ze Stronnictwem Narodowym. Urasta do roli ponurego symbolu, że sąd w rzekomo polskich mundurach wojskowych skazuje w Polsce na śmierć ludzi za zbrodnię pamiętania o tym, iż pochodzą zza Bugu.

Po blisko trzech latach dyktatury komunistów w Polsce mogą zapisać na swoje konto unieszkodliwienie od wewnątrz partii lewicowych. Nie znaleźli dotąd sposobu rozkruszenia "reakcji polskiej". Mimo przyjęcia zewnętrznego pewnych form i haseł narodowych w swoich organizacjach młodzieży, napotyka ją w wychowaniu młodego pokolenia na nieprzewyciężone opory "endeckiej reakcyjności i kultuństwa". Nie tylko procesy ostatnie ale i pewne inne oznaki każą się obawiać, że weszliśmy w okres, kiedy "rozwiązywanie problemu reakcji polskiej" stanowić będzie główną troskę Kompartii. Ten okres będzie wymagał szczególnej czujności społeczeństwa polskiego w Kraju i na emigracji.

JERZY GÓRSKI

CELE I ŚRODKI

POLITYKA polska znalazła się po Drugiej Wojnie Światowej wobec niezmiernie trudnych dylematów, o wiele trudniejszych niż te, które zaprzętały umysły naszych polityków roku 1914 i trudniejszych, niż te, które miał do rozwiązania rząd polski w r. 1939. W r. 1914 nie było jeszcze państwa polskiego, nie było więc jeszcze nic do stracenia, a zdobyć można było tak wiele. W r. 1939 kierownicy polityki polskiej dysponowali wszystkimi siłami Narodu, mieli mocną pozycję w świecie, mieli potężnych sojuszników, mieli wreszcie nawet respekt wrogów, którzy nie od razu zjednoczyli się przeciw Polsce i nie od razu powzięli swój plan zabójczy dla państwowości polskiej.

Obecnie nie posiada Polska tych wszystkich atutów, które posiadała w roku 1939. Ci, którzy się mienia "rządem polskim" w Warszawie, władzę swoją posiadają z woli obcego mocarstwa i za granicą uważani są za jego satelitów. Sami zatem nic nie znaczą. Natomiast legalny Rząd Polski w Londynie, który reprezentuje sprawę niepodległości i całości polskiej, przestał mieć formalne uznanie za granicą — z nielicznymi wyjątkami — i nie dysponuje inną siłą i innymi środkami, jak tylko moralnymi. Tym niemniej ten Rząd w Londynie, który powołany jest do kierowania wysiłkiem niepodległościowym Polaków, w innym jest położeniu, niż byli przywódcy polscy w r. 1914. Ma większą władzę wobec społeczeństwa polskiego, a zarazem ponosi większą odpowiedzialność. Polska nie przestała bowiem istnieć legalnie jako niepodległe państwo i za takie jest formalnie uważana. Posiada też formalnie swoje granice: na wschodzie granicę Traktatu Ryskiego, na zachodzie (choć z zastrzeżeniami) granicę, wyznaczoną w Poczdamie. I ta niepodległość, chociaż tylko formalna, i te granice, dlatego właśnie, że formalne, stanowią *assets* Polski, które każdy Polak, a tym bardziej legalny Rząd Polski, musi szanować i pilnie strzec. Wypadki mogą niejedno zmienić w międzynarodowym położeniu Polski — a przez to i w jej położeniu wewnętrznym. Natomiast te *assets*, dzisiaj tylko prawne, będą grały całym swoim znaczeniem w przyszłości.

Płynie stąd wniosek, że i legalny Rząd Polski i kierownicze czynniki polskiej emigracji muszą w działaniu swoim zachowywać tę samą dyscyplinę polityczną, której musiałyby być podporządkowane, gdyby znajdowały się w wolnym kraju i posiadały nad nim władzę rzeczywistą. Wynika to z ciągłości prawnej i politycznej Polski emigracyjnej z Polską niepodległą i z jej moralnej łączności z krajem, w jego obecnym położeniu. Wszystko, cokolwiek postanowi i uczyni Polska emigracyjna, może mieć skutek praktyczny w przyszłości. Zarówno skutek dodatni, jak ujemny.

Nie zupełnie zdawały sobie z tego sprawę pierwsze rządy emigracyjne, Sikorskiego i Mikołajczyka. Dla efektów doraźnej reklamy, przez beczmyślność lub przez ciasną partyjną zaciekłość, podrywały swoją ciągłość z Polską przedwojenną, oczerniali ją, tworzyli niezdrówę mitę jakiejś "nowej, oczyszczonej, demokratycznej Polski". Te mity niebacznie rzucane, torowały drogę czynnikom, które naprawdę dążyły do "nowej Polski", t.j. Polski poddanej kontroli Kremla i "oczyszczonej"

przez komunistycznych władców z jej prawdziwego, narodowego charakteru.

To samo było z innymi niezbyt fortunnymi hasłami Sikorskiego i Mikołajczyka, które bynajmniej nie leżały u podstaw decyzji polskiej stawienia oporu wrogowi w r. 1939. Nie żadna walka z "faszyzmem", ale obrona przeciw zachłanności niemieckiej oraz jej barbarzyńskiemu obliczu była źródłem decyzji polskiej. Wszelki totalizm, czy to faszystowski, czy hitlerowski czy komunistyczny, jest obcy społeczeństwu polskiemu oraz jego umysłowości katolickiej, jak obce mu były metody ustrojów totalitarnych. Słowo "faszyzm" było jednak nadużywane w ostatnich czasach, stając się frazese demagogicznym na użytek gawiedzi, buntowanej przez komunistycznych agitatorów. Dzisiaj oznacza się nim wszystkich, którzy nie chcą recepty marksistowskiej.

Proklamując zatem walkę z "faszyzmem", Sikorski znowu torował drogę przyszłemu reżimowi "warszawskiemu". Pod pretekstem, że tylko partie "demokratyczne i antyfaszystowskie" mogą rządzić Polską, obecni władcy Polski wykluczyli od wpływu na rządy większość społeczeństwa polskiego, usuwając te grupy, które w nim najwięcej reprezentowały.

Błąd Sikorskiego stąd przede wszystkim pochodził, że chciał on sprawę polską w walce Polski z Niemcami związać ze sprawą tych wszystkich czynników, którym równie, jak Polsce, zależało na klęsce Niemiec. Nie zadawolił się więc sojuszem z Anglią i z Francją oraz tymi przyjaznymi stosunkami jakie wówczas istniały z Ameryką, ale czynił również gesty wobec Benesa, wobec najbardziej zajadłych wrogów Polski wśród radykalnych kół na Zachodzie, nawet wobec Rosji, gesty niepotrzebne i często szkodliwe, bo czynione przeważnie z uszczerbkiem dla trwałych interesów Polski. Były to wszystko "sojusze" przygodne i niepremyślane, czynione z megalomanii lub za obcym podszeptem. Nie pozyskała sobie Polska nikogo spośród tych "sojuszników" naprawdę. Zdradzili oni Polskę przy pierwszej nadarżającej się okazji.

Sikorski chciał koniecznie, żeby Polska była "natchnieniem narodów" w walce z Niemcami i to nie tylko przez swoją moralną postawę, ale i przez czynne działanie. Niedochodziło mu o to, że w Polsce powstał najlepszy ruch podziemny w całej Europie. Chciał żeby Polacy ofiarowali wszędzie swoje usługi dla tworenia "frontów podziemnych" we wszystkich krajach europejskich — i w tym celu stworzono nawet w Londynie specjalną instytucję, która nie była niczym innym, jak pompą, ssącą krew Polaków we Francji, we Włoszech, w Rumunii i in. krajach pod okupacją niemiecką, jako dalszy "wkład" do "wspólnej sprawy aliantów". Pod koniec wojny z Niemcami, ale w czasie, kiedy Niemcy byli jeszcze dość silni, żeby masowo tracić swoich przeciwników, z pewnych kół polskich wysunięty został projekt urządzenia powstania wśród robotników polskich, przymusowo pracujących w Niemczech, aby ułatwić wkroczenie do Niemiec wojsk anglo-amerykańskich i sowieckich.

Wszystkie te akcje, niezależnie od bohater-
skiej i niezbędnej walki naszych Sił Zbrojnych,

podejmowane były z pokusy "wielkomocarstwowej", aby Polacy nie dali się nikomu prześcignąć w ofiarach w krucjacie przeciw "faszyzmowi". Polacy walczyli zatem w jednym szeregu podziemnym z komunistami wszystkich krajów, dzisiaj zaś ci sami Polacy, nawet t.zw. "prawicowi socjaliści" zarobili sobie w nagrodę na miano "faszystów", bo "sojusz" się skończył.

Prezydent Masaryk w pamiętnikach niedawno wydanych w języku angielskim, podkreślił, jako swoją dewizę, że *mniejsze państwa nie powinny naśladować wielkich mocarstw*. Masaryk miał to na myśli, że w polityce międzynarodowej wielkie mocarstwa na więcej mogą sobie pozwalać niż słabsze państwa, — i że byłoby błędem ze strony tych ostatnich, gdyby chciały ryzykować to samo co tamte, oraz pozwalać sobie na gesty, które nic nie kosztują możnych. Polska przedwojenna była państwem o stosunkowo znacznej sile i o dużym znaczeniu we Wschodniej Europie i mogła sobie pozwalać na większą samodzielność w polityce niż Czechosłowacja. Jednak nawet i Polska musiała liczyć się ze swymi faktycznymi możliwościami, ba, liczyła się z nimi nawet Anglia w okresie konfliktu abisyńskiego, kiedy nie czuła się dość na siłach. Ale Polska po klęsce wrześniowej po zalewie kraju przez Niemców i Rosjan, dysponowała b. ograniczonymi możliwościami — i rozsądek nakazywał ich oszczędzanie. Tak samo nie było konieczne, aby czynniki polskie dla "dobra sprawy" składały niezgodne z prawdą oświadczenia niewinniające rząd sowiecki — w latach 1941 — 1942, często zachlystując się pochwałami dla nowego sojusznika, a nie przed tym za to nie uzyskawszy od niego. Można było i ten wysiłek pozostawić propagandzie brytyjskiej lub amerykańskiej.

Trzeba wszystkie to przeszłe fakty mieć w pamięci, ponieważ i dzisiaj polityka polska i sprawa polska stoją wobec tych samych niebezpieczeństw. Pogłębia się bowiem konflikt pomiędzy mocarstwami anglosaskimi a Rosją — i konflikt ten może się przerodzić w nową wojnę. Zasadniczy wybór w tym konflikcie wydaje się prosty — jest on z Zachodem na tej drodze, która prowadzi do odzyskania niepodległości. Nasuwa się natomiast znowu zagadnienie taktyki, t.j. *środków*, które mają do tego celu prowadzić. Z pewnych stron już teraz wysuwane są pomysły "krucjatowe", które znowu chciałyby Polskę uczynić "natchnieniem narodów" i znowu obciążać zadaniami, które by wyręczały innych.

Pomysły te wychodzą z tych kół polskich, które już obecnie wysuwają ideę *rozczłonkowania Rosji* po jej pobiciu przez Anglosasów i które uważają, że nawiązują do idei federacyjnej Piłsudskiego z r. 1920. Autorzy tych pomysłów zapominają jednak, że Piłsudski rozporządzał wówczas stosunkowo dużą siłą własną i miał do czynienia z Rosją osłabioną i wciąż jeszcze trawioną wojną domową. Piłsudski mógł się zatem kusić o zrealizowanie planu, który byłby *poliskim planem* nie tylko w pomysle, ale i w *przeprawadzeniu*. Dzisiaj natomiast w najlepszym razie *poliskim* byłby tylko sam *pomysł*. Natomiast przeprowadzenie jego nie należałoby

WIKTOR TROŚCIANKO

EFEKTY ŚWIETLNE

GDY KTOŚ przeprowadza analizę naszych zalet i wad narodowych, wymienia zwykle wśród tych ostatnich polską skłonność do przesady i zaniżanie do ułatwionej dedukcji. Błyskotliwe popisy recytatorskie i koncertowe zagrania stylistyczne mają służyć wywołaniu pewnego wrażenia. Pasm takich impresji zastępuje wtedy rzetelną analizę, prawdziwe doświadczenie i wiedzę o przedmiocie. Jest pewien gatunek impresjonizmu tak chętnie uprawiany przez Polaków: system wrażeniowy w polityce, w publicystyce politycznej i w politycznym rozumowaniu. Podobnie jak malarze rozszczepiali światło na składniki cząstkowe i widzieli w obrazie przewagę jednej części koloru nad innymi, tak dziś niektóre kierunki polityczne, a raczej niektóre grupy i osoby politycznie działające,

Dokończenie ze str. 2.

już do nas — i nawet mogłyby się dokonać z naszą własną szkodą, pomimo wszelkich przyrzeczeń i zobowiązań "sojuszników". Mogłyby nam one przynieść akurat tyle zysku, ile obietnice Benesa z lat 1940 — 1942.

Stąd wydawałoby się że jak długo pozbawieni jesteśmy tych środków, które dają tylko własną, niezawisłą państwowość, powinniśmy swój główny wysiłek polityczny kierować nie na tworzenie pomysłów wątpliwych, opartych zresztą głównie na przesłankach negatywnych, ale na obronę swoich bezpośrednich interesów na tle nowej sytuacji politycznej. Jeżeli bowiem główne mocarstwa tworzyć będą same nowe programy na przyszłość, lub też będą chciały szermować pewnymi koncepcjami pomyślanymi tylko na potrzeby chwilowej koniunktury (*expediency*) dla kaptowania sobie doradzonych sojuszników, będzie rzeczą polityki polskiej strzec, aby to się nie odbywało naszym kosztem. Gdybyśmy postępowali inaczej, można by do nas zastosować znane powiedzenie Dmowskiego, że "bardziej nienawidzimy Rosji, niż kochamy Polskę".

Polska jest dość wielkim narodem, żeby posiadać program, wykraczający poza zasięg jej własnych spraw — i program taki posiada. Jest to program pozytywny i konstruktywny: przywrócenia do rzeczywistości tego, co jest w tej chwili fikcją, t.j. przywrócenia pełnej niezawisłości państw środkowo-europejskich za "żelazną kurtyną" oraz dania im możliwości zrealizowania ich obecnego pragnienia — związku państw środkowo-europejskich. Oba cele, które służą najbardziej żywotnym interesom Polski, są to cele realne. Niepodległość wszystkich państw, większych i mniejszych, jest wciąż jedną z zasad, formalnie uznawanych przez wszystkich, a "federacja środkowo-europejska" jest hasłem, które zdobyło sobie szerokie uznanie w czasie Drugiej Wojny Światowej i zwalczane jest tylko przez te czynniki, które nie pragną prawdziwego pokoju w Europie. Nam ten program powinien narazie wystarczyć. Może Ameryka ma program dalej idący: jeżeli tak, to chowa go bardzo głęboko. Mamy wyręczać Amerykanów?

JERZY GÓRSKI

dokonywają procesu rozszczepiania wiedzy o całości zagadnień polskich, operując wrażeniami tak, by w końcu przedstawić cały obraz w ulubionym przez nich kolorze. Okazją do takich "salonów wystawowych" jest prasa, w której co pewien czas impresjonści polityczni wystawiają kolejne swe prace mające oddziaływać na człowieka by wreszcie uwierzył, że np. kolor czarny, biały, lub czerwony jest jedyny dla przedstawienia obrazu polskich zagadnień.

Każdy oczywiście ma prawo przedstawiania swego punktu widzenia na sprawy polskie, zarówno na te, które dotyczą niedawnej przeszłości, jak i na całość problemów oczekujących nas w przyszłości. Posługiwanie się jednak w tej pracy wyłącznie metodą wrażeniową jest błędne. Jeżeli już konieczne impresjonizm polityczny w publicystyce musi istnieć, to granicą obowiązującą każdego autora są obiektywne zjawiska fizyczne, są reguły faktu i kanony prawdziwości wydarzenia. Czynniki ograniczające technikę wrażeniową są również wszystkie wartości, zamknięte w pojęciu dobrego obyczaju; w tym ostatnim zaś mieści się bardzo wiele, od zwyczajów i tradycji kulturalnej aż do prostych zasad dobrego wychowania. Jeśli np. walczymy z tym schamieniem, jakie na świat naszej cywilizacji niesie komunizm ze swoimi metodami, a choćby nawet ze swoim "technicznym" słownikiem — to musimy zacząć walkę także z narzucaną piśmiennictwu polskiemu techniką, której zewnętrznym wyrazem jest cała gama wyzisk, polajank, nieuzasadnionych zarzutów, kierowanych zarówno pod adresem współrodaków jak i cudzoziemców. Efekty uzyskiwane powiędzeniami wulgarnymi na pewno nie wzbogacają piśmiennictwa polskiego, sprowadzają je natomiast do poziomu ulicy, brudnej i bardzo nudnej ulicy, wielkomięskiego szablonu.

Jest wreszcie zasada obowiązująca wszystkich w polityce, w publicystyce i piśmiennictwie politycznym, zasada odpowiedzialności. Powołując się na nią społeczeństwo może zawezwać każdego do zdania rachunku z wszelkich operacji politycznych, nie wyłączając tych, które się przeprowadza za pomocą drukowanego papieru. Różnie bywa tłumaczona nieodpowiedzialność, spotykana niestety zbyt często w społeczeństwie polskim a przynosząca tyle szkody naszym sprawom w czasie ostatniej wojny. Tchórzostwo, dziwactwo, czy *idées fixe* tłumaczone były prawie zawsze jakimś posłannictwem, namaszczeniem na nowego, nieprzyjętego proroka. W Anglii i w innych krajach zachodnich proroków takich traktuje się z całą powagą tutejszego prawa, nawet we Francji, liberalnej pod każdym względem, wyciągnięto konsekwencje w stosunku do zbyt daleko zaawansowanych przejawów nieodpowiedzialności politycznej w czasie ostatniej wojny. W Polsce natomiast pod tym względem propagowano niedobry obyczaj, uzasadniając go politycznym niewyrobieniem narodu polskiego, który rzekomo sam nie wiedział czego chce i który wobec tego trzeba było poddać elitarnemu kierownictwu. Brak szacunku dla własnego narodu jest grzechem pierworodnym znacznej ilości polityków i publicystów polskich. Jest więc oczywiste, że właśnie brak szacunku, a raczej niszczenie jakiegokolwiek szacunku do narodu stanowi punkt wyjścia w okupacji bierutowej,

nazywanej cynicznie "demokracją ludową". Nie trudno zauważyć jak konsekwentnie kulturuje się pod reżimem komunistycznym wszelką głupotę, więcej jak się tę głupotę zbiorowo organizuje; równoległe z tym, wielkim nakładem środków nacisku, przeprowadzane są ataki na całą kulturę polską, uderzające w te miejsca, które uznane są za dostatecznie "zmiękzone". Wśród innych metod używa się także rzekomo polskiej publicystyki, wykorzystując przyzwyczajanie czytelnika polskiego do zmniejszonej odpowiedzialności prasy polskiej, operowanie abstrakcją i absurdem. Najtragiczniejszym jednak objawem nieodpowiedzialności politycznej w Kraju są proreżimowe wypowiedzi ze strony ludzi, którzy mają być reprezentantami polskiego stylu życia. Istnieje tam jednak okoliczność łagodząca, okoliczność niewoli.

Coraz częściej w prasie i innych wypowiedziach emigracyjnych operuje się postawą Kraju. Tendencją ogólną wypowiedzi na ten temat jest utrwalenie obrazu narodu polskiego, jego wiary, celów i metod ich realizacji w czasie ostatniej wojny.

Stanowisko narodu polskiego i jego zbiorowych tendencji jest przedmiotem tworzonych obecnie dwóch całkowicie impresjonistycznych obrazów operujących jednym tylko kolorem głównym i przyjmującym zjawiska uboczne za charakterystyczne dla całości.

Jeden z tych obrazów idzie po linii utrwalenia rzekomych tendencji rewolucyjnych w sensie *rewolucji klasowej*. Według tej grupy politycznej i publicystycznej opór Kraju podczas ostatniej wojny był typową rewolucją klasową, uaktywniał doły, uświadamiał je i rzucał do walki o ideały socjalistyczne. Grupom, które ten obraz przedstawiają społeczeństwu emigracyjnemu, wcale to nie przeszkadza, że jest on oficjalnym stanowiskiem propagandy bolszewickiej, t.j. tej, która nie chce widzieć w Polsce walki o niepodległość narodu, a tylko o t.zw. emancypację proletariatu. Stąd np. w Polsce zupełnie jest cicho o udziale w walce tej części społeczeństwa, która politycznie należała, lub była zbliżona do ruchu narodowego. Nawet procesy polityczne, w których oskarżonymi są wybitni działacze ruchu podziemnego z czasów okupacji niemieckiej, przeprowadza się przy drzwiach zamkniętych, jak to miało miejsce np. w procesie Komitetu Ziemi Wschodnich. Istnieje bowiem w Polsce oficjalna teza *walki ludowej*. Wykorzystywana tam jest nawet ciska śmierci poległych socjalistów walczących o niepodległość narodu i samodzielność państwa polskiego; włącza się tam ceremonie pogrzebowe do propagandy walki klas. Przejęto nawet akcesoria polskiej martyrologii powstańczej i rozprawia się o tragedii Powstania Warszawskiego przekraczając istotę tragedii. Według tamtej propagandy naród polski walczył o wyzwolenie się z ucisku obszarników, o przyjęcie sowieckich instytucji społecznych, marksistowskich podstaw cywilizacji i materializmu dziejowego. Całość zaś problemu wolnościowego i państwowego, według tezy komunistów, rozwiązana została przez "radzieckiego sprzymierzeńca", któremu wobec tego należy się dogronna wdzięczność; walka z dotychczasowym oporem społecznym i narodowym — to zdaniem pro-

pagandy Bieruta nie jest już walka z narodem polskim, z jego dążeniem do niepodległości, lecz tylko i wyłącznie z "agenturami" przeciwnika klasowego.

Trzeba było przypomnieć krótko ogólne tezy komunistyczne w walce z narodem polskim. Bo właśnie tutaj, w ośrodku wolnej polityki polskiej propagowany jest niemal ten sam obraz z nieznaczną poprawką, a mianowicie z pominięciem słowa "komunizm" i "Związek Sowiecki". Reszta prawie pozostaje ta sama. Tak więc wojna według tej tendencji przesunęła społeczeństwo polskie "na lewo". Ponieważ zaś za lewicę uważa się społeczeństwo zorganizowane klasowo, przeto zdaniem tej części publicystyki wojna w znacznym stopniu zrealizowała postulaty walki klas. Jednym z kulminacyjnych punktów tego procesu ma być Powstanie Warszawskie. Jest to niemal "la Commune de Varsovie", "63 Days" barykad proletariatu, który z prawdziwie robotniczym zapałem bił się o wyzwolenie klasowe. Przedstawianie Powstania Warszawskiego jako czegoś w rodzaju końcowych scen *Nieboskiej Komedii*, z trybunem ludowym i hrabią, jest może pewnym gatunkiem literackim, w polityce jednak opieruje obrazem najbardziej jednostronnym i tworzy legendę nieprawdziwą ze szkoda dla całości polityki polskiej. Pozostawała więc już tylko konieczność usunięcia rosyjskich komunistów i ich agentur, jako nowej edycji caratu. "Zdobycze" klasowe w tak przedstawionym ujęciu mogą i muszą pozostać. Jak nam wiadomo, istnieje w świecie organizacja międzynarodowa służąca podobnym celom. Naszym zdaniem polityka polska w popieraniu tej organizacji nie ma najmniejszych korzyści. Emancypacja społeczna w Polsce zarówno w dziedzinie duchowej, jak i materialnej była procesem organicznym zarówno przed wojną jak i w czasie wojny. Odbывała się i odbywać się powinna w warunkach wolnego społeczeństwa, w oparciu o narodowe instytucje niepodległego państwa. Wcale na to nie trzeba ani krwi, ani barykad, ani rezygnacji z części terytorium.

Obok tej "świętej legendy AK" w bardzo materialnym pojęciu świętości, wysnuwana jest inna opinia, z której czerpie się pożywkę na całe rozległe rozumowania. Jest to charakterystyczny, *pokłeskowy rewizjonizm*, zniekształcający obraz polityki polskiej i stanowisko naszego narodu w czasie ostatniej wojny.

I tutaj można byłoby wyodrębnić dwie tendencje, z których jedna jest propagowana w Kraju, druga zaś na emigracji.

Rewizjoniści krajowi w rodzaju p. Bocheńskiego, autora książki *Dzieje głupoty* zmierzają do podważenia konieczności i celowości polskiego stanowiska w czasie wojny, masowego oporu narodowego i zaangażowania się w walce; ich ulubioną metodą propagandową jest przedstawianie polskiej wojny jako nowego wydania romantyzmu, powtórzenia się ulubionych szarż kawalerskich. Nawet zwycięstwa oręża polskiego na frontach zachodnich wojny przedstawiane są jako "szaleństwo Polaków". W tym celu wysyłani są z Polski specjaliści korespondenci (wśród których oczywiście widzimy Ksawerego Pruszyńskiego), mający to "szaleństwo" opisać. Wydaje się czasem, że to dr. Goebbels ożył razem ze swoim *Das Reich* i w artykułach wstępnych ironizuje na temat *polnische Turisten*. Czytelnikowi narzuca się poczucie niższości, mikromanie, raz na zawsze wbija się w głowę, że naród polski samodzielny i podmiotem polityki nie jest i być nie może. Może tylko manewrować w cieniu innych. Jeśli zaś mu się zechce zdobywać prawdziwą niepodległość, to tak oberwie, że pokolenia nie uleczą. Wynajęci do tego celu publicyści krajowi zmierzają oczywiście do konkluzji

całkowitego oparcia się o Rosję Sowiecką. Jedyne środowisko publicystyczne — katolickie co pewien czas także jest nawiedzane nutą pesymizmu na widok zniszczeń i dotychczasowych daremnych wysiłków. Doprawdy czasy te wymagają od Polaków czegoś więcej niż prostej odwagi i gotowości poświęcenia życia. Wymagają siły przeżycia indywidualnych i zbiorowych załamania.

Innego typu rewizjonizm rozwija się na emigracji. Cele jego są krańcowo odmiennie od tych, ku którym zmierzają rewizjoniści krajowi. Tutaj walczą się o samodzielną politykę polską, pozbawioną wszelkich natętów sentymentalizmu, przyzwycażeń, uprzedzeń, zasad. . . . Rewizjonizm tutejszy kwestionuje słuszność stanowiska polskiego w miesiącach bezpośrednio poprzedzających wojnę, rzekomo nieopatrzne przyjęcie angielskiej gwarancji, totalne zaangażowanie się w wojnę i zbyt kosztowne jej prowadzenie. Zebrało się na emigracji kilku publicystów, którzy regularnie rozwijają swoje tezy, nie szczędząc argumentów, przykładów, cytat z historii, a nawet "mocnych słów". Analiza stanowiska polskiego przeprowadzana przez tych publicystów prowadzi do tego, że Polska nie powinna była przyjmować wojny, lecz manewrować tak, żeby w końcu zająć stanowisko *beati qui tenet*, gdy Niemcy, Rosja i państwa demokracji zachodnich nawzajem się pozagryzają. Publicystyka tego rodzaju korzysta z wielu ułatwień, największym dla niej ułatwieniem są nieprzeliczone błędy polityki anglosaskiej i to nie tylko w stosunku do Polski, lecz nawet w stosunku do własnych, dobrze pojętych interesów narodowych; ułatwień tych dostarczą także część polityki polskiej, widząca rolę Polski według własnych, najzupełniej indywidualnych, na wrażeń i na zwątpieniach opartych, tendencji. Największym zaś ułatwieniem jest powszechne poczucie zawodu z takiego zakończenia wojny, które rzeczywicie najtrafniej określa tytuł książki "Defeat in Victory".

Argumenty tej grupy publicystów mają jednak zasadniczy błąd: wyolbrzymiają znacznie gry polityczne i całkowicie pomniejszają świat idei, o które toczyła się ostatnia wojna. Z odstępstwa od tych idei części sprzymierzonych nie wynika wcale, że ich nie było, lub że były czymś dekoracyjnym. Sprowadzanie celów Hitlera do walki o polski "korytarz" i polską neutralność jest zbyt wielkim uproszczeniem i naiwnością. Któreż z państw kapitulujących bez walki przed polityką Hitlera zachowało neutralność, oszczędziło sobie klęski? Z wojną czy bez wojny Polska w planach niemieckich miała być narzędziem realizacji celów narodu niemieckiego, który w Hitlerze upatrzył sobie nowe wcielenie tęsknot germańskiego ludu, germańskiego pokoju na świecie. Niemiecki program polityczny nie kończył się na organizacji Europy Środkowej, nie skończyły się nawet na rozgromieniu Rosji, granicą jego walki było pełne uznanie przez cały świat hegemonii niemieckiej siły, materii, jako jedynego miernika współżycia między ludźmi. O to samo i dokładnie o to samo walczy Rosja Sowiecka. Naszym nieszczęściem jest, że te dwa olbrzymie totalizmy w skali światowej spadły na Europę jednocześnie.

Rewizjonizm emigracyjny nie pozostawia oczywiście na boku społeczeństwa polskiego w Kraju podczas ubiegłej wojny. Coraz częściej czytamy o szkodliwych rozmiarach polskiego ruchu oporu, który nie przyniósł nam żadnych korzyści, przyniósł natomiast olbrzymie straty. Gdyby naród pod okupacją niemiecką "siedział spokojnie" przewidział "zdradę sojuszników" i podbój rosyjski — nie byłoby tego nieszczęścia.

W rozumowaniach takich mamy do czynienia

nie tylko z przerostem znaczenia gry i taktyki; tu trzeba powiedzieć jasno, że poglądy takie opierają się na kompletnym niezrozumieniu sytuacji w Kraju podczas wojny. Przede wszystkim należy stanowczo sprostować obraz społeczeństwa polskiego, przedstawianego w tych rozumowaniach. Trudno o coś bardziej jednostronnego niż przedstawianie z jednej strony grupy przebiegłych, pełnych złej woli ludzi za granicą, a z drugiej społeczeństwa czekającego tylko na ich skinienie, by z ochotą skoczyć na śmierć *pour le roi d'Angleterre*. A tak to wygląda w impresjonistycznych obrazach. Wyszem, może i można by było uniknąć części strat pod *pewnymi* warunkami. Gdyby się np. udawało, że nie widzimy likwidacji polskiej warstwy przodującej: polityków, pisarzy, profesorów uniwersytetu, artystów, księży; gdybyśmy uchwalili rezolucję po rozstrzelaniu Polaków w Wawrze, że sprawiedliwości stało się zadość; gdybyśmy się zgodzili na to, że ideałem kultury polskiej jest wykształcenie w zakresie szkoły powszechnej, bez historii i geografii; gdybyśmy wzięli udział w masakrze Żydów, nieuleczalnie chorych i kalek. Za tę cenę, oraz codziennie składane zapewnienie o wyrzeczeniu się narodowej samodzielności — mielibyśmy prawdopodobnie mniej ofiar. Naród polski bez przekreślenia własnej osobowości takiej ceny zapłacić nie mógł. I dlatego ruch oporu był w rozmiarze takim w jakim Niemcy narzucili Polsce wojnę, — w totalnym. Największe straty ponieśliśmy oczywiście nie w akcjach zbrojnych, a nawet nie bezpośrednio po nich (wyjąwszy Powstanie Warszawskie), lecz w niesporowodowanej a uzgodnionej eksterminacji sowieckoniemieckiej od pierwszych dni wojny.

Nie dotykam tu umyślnie kwestii Powstania. Nie dlatego, żeby piszący te słowa nie miał poglądu na tę sprawę. Wydaje się jednak, że kwestia ta, jedna z najważniejszych w ocenie niedawnych wewnętrznych zagadnień polskich, wymaga specjalnych okoliczności, czasu i miejsca dla jej rozpatrywania. Jedyna teza, która bez szkody dla całości polityki polskiej, a przeciwnie dla jej pożytku może być teraz budowana — to bezsporna dla wszystkich teza niespotykanego bohaterstwa i poświęcenia Polaków.

Polski ruch oporu wraz z całym swoim państwem podziemnym był solidarnym, ponadklasowym, ogólnonarodowym stanowiskiem wszystkich Polaków. Wyrażał ich pogląd na wartości cywilizacyjne, na wolność człowieka i co dzień podkreślaną wolę urządzenia swojego bytu zgodnie z tymi wartościami.

Niedawno toczyła się na łamach prasy polskiej w Londynie dyskusja na temat włoskiego filmu *Roma città aperta*. Byłem na tym filmie, uderzyła mnie jego prawdziwość artystyczna, a wszystkie refleksje porównawcze szły jedynie w tym kierunku, że cała suma polskiego bohaterstwa pokryta jest nadal milczeniem. Czas i ludzie pracujący nad zamazywaniem konturów prawdziwego oblicza walki naszego narodu, walki wobec której rzymskie perypetie bohaterów filmu są milimetrowym fragmentem. Gdy cały świat, ten oficjalny, milczący lub ten zakłamany, przestał mówić o "natchnieniu", obowiązując mównicą prawdy mają Polacy, żyjący w warunkach wolności.

Pisząc niniejsze uwagi starannie omijałem nazwiska i t.zw. przykłady z życia, nie dlatego, żeby nie było czego zacytować. Pod ręką leżą całe stopy przykładów i czekają efektywne cytaty. Nie o efekty jednak chodzi. Chodzi o przypomnienie tylko tego, że walka polska nie jest skończona i, że obowiązują pewne zasady tej walki z naczelną zasadą odpowiedzialności. Z tego będziemy zdawać rachunek.

WIKTOR TROŚCIANKO

NEOLIBERALIZM GOSPODARCZY

SIŁA ideowa komunizmu w naszych czasach polega nie tyle na tym, by znajdował on wyznawców wierzących w przyszły obraz szczęśliwej i sprawiedliwej komunistycznej ludzkości, ile w tym, że daje proste i realne rozwiązania strukturalnych trudności gospodarczych. Dziś nikt myślący nie może się już ludzić, że rozwiązanie to oznacza co innego niż powszechną niewolę i powszechny niedostatek. Tym niemniej jest to jakieś rozwiązanie i to, w gruncie rzeczy, rozwiązanie łatwe, bo idące konsekwentnie po przedłużeniu linii, po jakiej rozwijał się kapitalizm zachodni od czasu liberalizmu poprzez gospodarkę kartelowo-koncernową.

Z chwilą, gdy gospodarka opiera się na systemie faktycznych monopoli, jest rzeczą logiczną podporządkowanie ich całkowicie monopolowi państwowemu. Wielu pisarzy, którzy odeszli od socjalizmu, jak Burnham czy Koestler, uważają nadal rozwiązanie to za nieuniknione. Przyjmowały je także milcząco systemy totalne jak faszyzm czy hitleryzm. Nie przyjmowały one tylko symplastycznej struktury rosyjskiej, pozostawiając przedsiębiorcy część troski o jego zakład i tytuł własności lecz pozbawiając go istotnego atrybutu własności, jakim jest prawo dysponowania warsztatem pracy i planowania produkcji.

Przeciwko temu kolektywistycznemu fatalizmowi podnosiły się głosy krytyki, lecz nie wskazywały przekonującego wyjścia. Najpoważniejsza była szkoła korporacjonizmu katolickiego, lecz nie dawała ona rozwiązania strukturalnego, nie wskazywała jasno, jak ma wyglądać powiązanie korporacji z państwem i z całością życia politycznego. Najradykałniejszy w krytyce był dystrybucjonizm chęsteronowski, zalecający całkowitą dekoncentrację środków produkcji. W Polsce dużą popularność miało hasło upowszechnienia własności. Kierunek ten jednak nie rozwiązywał trudności technicznych, nie wskazywał jak od skoncentrowanej powiązanej gospodarki nowoczesnej przejść do nowych form bez katastrofy cywilizacyjnej. Niekiedy w Polsce jak np. dr. W. Zaleski pojmowali upowszechnienie własności w sposób głównie prawny a nie techniczny w postaci oddania zorganizowanym pracownikom warsztatu ich pracy. Granica wszakże między tym systemem a gospodarką kolektywistyczną wydaje się dość elastyczna. Rozwiązanie naprawdę radykalne, ale tylko wizyjno-postulatowe dawał jedyny Stanisław Piasecki, tworząc obraz gospodarki opartej o nowy typ silnika indywidualnego, dostarczającego właścicielowi wprost z przyrody energii przemysłowej. Zapewne, że wynalazczość ludzka skierowana była w panujących warunkach społeczno-gospodarczych na tworzenie wynalazków dla wielkich zakładów i że zwrócenie jej wysiłków w przeciwnym kierunku dać by mogło nieoczekiwane rezultaty. Tym niemniej wynalazków takich dotąd nie ma i trudno liczyć na jedno proste techniczne rozwiązanie problemu.

Wszystkie te problemy, dość żywo dyskutowane przed wojną w Polsce i w krajach europejskich, nie znajdowały raczej echa w świecie anglosaskim, gdzie nie odczuwano potrzeby zmian strukturalnych i uważano kapitalizm dziewiętnastowieczny za jedyny naturalny system ekonomiczny. Dziś jeszcze na tym stanowisku stoi oficjalna opinia amerykańska. Wszakże choroba gospodarki świa-

towej weszła już w stadium zbyt drastyczne, by można było nie dostrzegać potrzeby zmian. Pojawiła się krytyka współczesnego kapitalizmu z nowej strony, a mianowicie z kół ortodoksyjnie liberalnych. Założenia ich są liberalne, wnioski odbiegają daleko od tradycyjnego *laissez-faire*izmu. Dla Ameryki charakterystyczne są tu głosy W. Lippmana i W. Arnolda, ale duchową ojczyzną myślenia neoliberalnego stała się w czasie obecnej wojny Szwajcaria.

Pod koniec wojny bardzo ożywioną dyskusję, sięgającą poza granice Szwajcarii, wywołała książka znanego ekonomisty niemieckiego profesora Wilhelma Roepke, zamieszkałego od lat już w Szwajcarii.*) Roepke jest propagatorem tzw. "Trzeciej Drogi", trzeciej w przeciwstawieniu do kolektywizmu i kapitalizmu. Sprzecznosc tego hasła z istotą poglądów autora polega na tym, że Roepke widzi tylko jedną alternatywę: albo ustrój wolnej konkurencji albo ustrój planowania urzędowego, i nawet dość przekonująco uzasadnia konieczność stanięcia na płaszczyźnie jednej z tych dwóch zasad. Sam stoi zdecydowanie na gruncie wolnej konkurencji i gospodarki rynkowej. Jego celem jest przywrócenie tego systemu w obecnych warunkach i usunięcie tego, co kapitalizm napsuł odbiegając od istotnych warunków wolnej konkurencji. Nie odmawia on państwu prawa ingerencji gospodarczej, lecz dzieli interwencje państwowe w gospodarkę na dwa rodzaje: jedne są *konformne* a inne *nicht konformne*. *Nicht konformne* są te, które podważają samą zasadę działania mechaniki cen, *konformne* te, które jej bieg naprotowują i naruszona wolność przywracają. Pewien zakres gospodarki ściśle planowej, np. w komunikacji, zakładach użyteczności publicznej itp., jest niezbędny, lecz należy dbać, by był on jak najmniejszy a jaknajwięcej miejsca zajmowały działy z natury wolne jak gospodarka chłopska i rzemieślnicza. (Nota bene Roepke za chłopca uznaje tylko chłopca zachodnio-europejskiego a odmawia stanowczo tego tytułu wieśniakowi polskiemu, węgierskiemu, serbskiemu a nawet wschodnio-niemieckiemu, których uważa za niezdrowy twór feudalno-absolutystycznej gospodarki). Jako choroby naszego wieku wymienia on *Vermassung*, *Proletarisierung*, *Mechanisierung*, *Zentralisierung*, a jako najważniejsze praktyczne cele "decentralizację, naturalne popieranie mniejszych jednostek produkcyjnych i osiedleńczych oraz socjologiczne zdrowienie form życia i pracy, przede wszystkim chłopskich i rzemieślniczych, przekształcenie prawa w celu zapobieżenia monopolom i koncentracji (prawo o spółkach, prawo patentowe, upadłościowe, kartelowe itp.), najsurowszą kontrolę rynku w celu zachowania *fair play*, wytworzenie nowych, nieproletariackich form przemysłu, przywrócenie wszystkich wymiarów i stosunków do miary człowieka, usunięcie przerostów w organizacji, specjalizacji i podziale pracy, dążenie do jak najszerzego rozpowszechnienia własności i konformistyczna interwencja państwa przy dobrze przemysłowym zachowaniu odcinka właściwej gospodarki planowej".

W programie tym znajdujemy wymienione niemal wszystkie postulaty przedwojennej krytyki, o której była mowa wyżej. Natomiast

pozostaje Roepke bardzo krytyczny w stosunku do postulatów korporacjonistycznych. Czysty korporacjonizm, jego zdaniem, doprowadziłby do rozkładu państwowego a w ślad za tym i społecznego. Niezbędne jest państwo o określonych, jasno ograniczonych kompetencjach i przez to właśnie silne. Zagadnienie silnego państwa łączy się z koniecznością odpolitycznienia gospodarki a może być ona odpolityczniona tylko przy zasadzie wolnej konkurencji rynkowej, a nie przy korporacjonizmie. Ten postulat odpolitycznienia gospodarki jest bodaj najciekawszym, ale i najtrudniejszym punktem programu Roepkego. Jest to zagadnienie kluczowe całego neoliberalizmu.

Jeżeli poglądy Roepkego i jego uczniów mogą budzić wiele sceptycyzmu, to analiza choroby naszego wieku, przeprowadzona przez niemieckiego uczonego, jest bardzo interesująca. Cytuje on zdanie Henri Massisa o *abandon des certitudes essentielles* i w tym porzuceniu zasadniczych pewności widzi źródło zaniku dwóch istotnych reakcji psychicznych, bez których żadne społeczeństwo długo istnieć nie może, tj. czci i oburzenia. Prawie nic nie budzi dziś szacunku i nic nie wywołuje oburzenia. Ta atrofia psychiczna jest u źródła wszelkich katastrof, ponieważ nie działają już refleksy przyzwolenia i odrzucenia.

Za wspólny błąd liberalizmu i socjalizmu uważa Roepke przecenienie roli interesu w ocenie motywów człowieka. Towarzyszyło temu dzwienie w myśli europejskiej uciekanie w nieokreśloność i absolutność, podnoszenie do wartości absolutnej jakiejś jednej zasady. W ten sposób marnowało się dziedzictwo cywilizacji. "Oświecenie, liberalizm, humanitaryzm i demokratyzm są zeświecczeniem chrześcijańskiego dziedzictwa". Roepke jest protestantem, to też był nieco zgorszony, gdy pewien dygnitarz Międzynarodowego Biura Pracy, usłyszawszy jego poglądy na temat konieczności odproletaryzowania gospodarki, zapytał go: *Why, you are a Catholic, aren't you?* Zgorszenie niesłuszne, skoro głosił tezy *Rerum Novarum*.

I tu dochodzimy do sedna bodaj zagadnienia neoliberalizmu. Albo jest on, jak niekiedy u ekonomistów amerykańskich, prądem dosłownie reakcyjnym, chcącym tylko poobcinać niektóre przerosty kapitalizmu, nie szukając źródła choroby współczesnego gospodarstwa, albo też jest usiłowaniem szczerze i niezależnie rewizjonistycznym, a wtedy dojść musi w poszukiwaniu źródeł zła do założeń katolickich i wtedy, świadomie lub nie, odrywać się od wszelkiego liberalizmu przechodząc do zasad konstruktywnej wolności, możliwej jedynie w ramach skończonego systemu religijnego.

W.W.

Romana Dmowskiego

"POLITYKA POLSKA

I ODBUDOWANIE PAŃSTWA"

do nabycia
w kioskach i księgarniach polskich
w cenie 15s. za 2 tomy.

Skład główny:

Adminstracja "Myśli Polskiej"

8 Alma Terrace, Allen Street,

London W.8. Tel.: WESTern 1797.

*) Wilhelm Roepke: "Gesellschaftskrise der Gegenwart." Zurich, 1942.

Z MATERIAŁÓW DO ZAGADNIENIA UKRAIŃSKIEGO

Niektóre przyczynki do sowieckiej polityki populacyjnej i narodowościowej na Ukrainie

NOTORYCZNY brak oryginalnych większych opracowań polskich na tematy wymienione w tytule powodując, iż trzeba się zadawać na razie fragmentami prac już gdzieś opublikowanych.

UKRAINA W ŚWIETLE ZMIAN POPULACYJNYCH W ZWIĄZKU SOWIECKIM

Czasopismo ukraińskie *Ukraińska Trybuna*, wychodzące dwa razy na tydzień w Monachium, ogłasza w swoim wydaniu z dnia 4 września 1947 interesujący artykuł statystyczno-populacyjno-ekonomiczny, p.t. *Na szlaku konsolidacji Imperium*, podpisany literami M.O. Niewątpliwie chodzi tu o pióro dobrego znawcy przedmiotu. Artykuł traktuje o konsolidacji rosyjskiego Imperium. Wymujemy z niego ustęp odnoszący się do sowieckiej polityki populacyjnej na Ukrainie w porównaniu z resztą Związku Sowieckiego.

“W następstwie tych starań — pisze autor o polityce sowieckiej — pierwszym i zasadniczym sukcesem jest wewnętrzno-imperialna migracja z peryferii ku centrum, uwarunkowana polityką Moskwy. W dążeniu tym wewnętrzna polityka imperialna osiągnęła bardzo poważne zdobycze w ciągu ostatniego półwiecza. W stosunku do Ukrainy zdobycze te przedstawiają się następująco:

“W 1897 r. obszar dzisiejszego Z.S.S.R. bez Ukrainy liczył 83 miliony ludności, obszar U.S.S.R. (autor przyjmuje za podstawę obszar Z.S.S.R. oraz obszar Ukraińskiej S.S.R. sprzed 1 września 1939 r. — przyp. “M.P.”) — 23 miliony. W procentach dawało to 78,3% i 21,7%. W 1914 r. cyfry te wynosiły 112 milionów dla Z.S.S.R. i 27 milionów dla U.S.S.R., czyli 80,6% i 19,4%, w 1939 r. zaś 139 milionów i 31 milionów (przy tej cyfrze autor daje znak zapytania), co w procentach daje 81,8% i 18,2%. Procent przyrostu wynosił w okresie od 1897 — 1939 67,4% dla Z.S.S.R. bez Ukrainy, a 34,8% dla Ukraińskiej S.S.R., w okresie zaś 1914 — 1939 24,1% dla Z.S.S.R. i 14,8% dla U.S.S.R.

“W okresie więc ostatnich lat 42 tempo przyrostu ludności na Ukrainie zostało prawie o połowę w tyle w porównaniu do tempa przyrostu reszty Z.S.S.R. (67,4% i 34,8%). Gdyby zaś oddzielić dane z innych terenów nierosyjskich, jak Wybrzeże Bałtyckie, Białoruś, Kaukaz, t.zn. te, które znajdują się w sytuacji podobnej co Ukraina, okaże się, że tempo przyrostu ludności na rosyjskich terenach etnograficznych jest jeszcze wyższe.

“Naturalny przyrost ludności Ukrainy był najwyższy w Imperium i do 1929 r. wynosił 2,3 — 2,4% w stosunku rocznym, co w okresie 30-35 lat powinno było spowodować podwojenie liczby ludności, masowa jednakże emigracja ludności z Ukrainy, przeprowadzana pod przymusem ekonomicznym i policyjnym, osiągnęła ogromne rozmiary. Z niepełnych zresztą liczb urzędu przesiedleń wynika, że w latach 1891-1900 wyemigrowało z Ukrainy do Rosji tylko ludności wiejskiej 336 tysięcy, w latach 1900-1913 wyłącznie tylko za Ural półtora miliona tej ludności, a plan pierwszej piątletki 1928-33 przewidywał przesiedlenie 910 tysięcy ludności z Ukrainy do Rosji.

“Te niepełne dane przedstawiają tylko część obrazu przesiedleń z Ukrainy do Rosji. Wystarczy powiedzieć, że niesolidne zresztą dane spisu z 1939 r. wykazują, iż w Rosyjskiej

S.S.R. przebywało 6,5 miliona Ukraińców (w rzeczy samej zaś 9 milionów), a przy uwzględnieniu innych republik jeszcze więcej.

“Równocześnie z przesiedleniami odbywa się wynarodowienie ludności Ukrainy i rozwodnienie jej żywiołami obconarodowymi: w 1914 roku Ukraińcy stanowili 90% ludności Ukrainy, a w 1939 r. już tylko 80%.

“Polityka Rosji wobec peryferii jej Imperium i Ukrainy zmierza do spotęgowania wzrostu liczby ludności na rosyjskim terytorium etnograficznym kosztem masowej, przymusowej deportacji Ukraińców i innych narodowości peryferyjnych do Rosji, a także do dalszego wypłukiwania ludności tubylczej z terenów nierosyjskich przez spotęgowane przesiedlanie na te tereny Rosjan, co prowadzi do rozrzedzenia masywu ludności miejscowej i sprzyja jej wynarodowieniu”.

Tyle autor podpisany M.O. w *Ukraińskiej Trybunie*. Należy tu zarejestrować — co wynika zresztą z tekstu —, że opierał się on o dane liczbowe rosyjskich spisów ludności przeprowadzanych w latach 1897, 1914 i 1939. Nie są to jedne spisy ludności w tym okresie. Ponad to pan M.O. zajmuje się ogólnie ludnością Ukrainy i dotyka pobieżnie tylko problemu ludności ukraińskiej czy to na samej Ukrainie, czy w reszcie Z.S.S.R. A wreszcie twierdzenie jego, że w 1939 r. odsetek Ukraińców wśród ludności Ukrainy wynosił 80%, nie znajduje potwierdzenia u innych autorów, poniżej cytowanych.

POLITYKA SOWIECKA W STOSUNKU DO UKRAIŃCÓW NA UKRAINIE

Znany autor angielski p. W. E. D. Allen tak pisze o polityce sowieckiej wobec ludności ukraińskiej na samej Ukrainie (*The Ukraine — A History*, by W. E. D. Allen, Cambridge University Press, 1940, stronie 374-5-6):

“Historia przyrostu ludności na Ukrainie w okresie ostatnich 20 lat jest naturalnie o wiele bardziej skomplikowana, niżby to wynikało z nagich cyfr. Szalała tam straszliwa śmiertelność, spowodowana najpierw przez Rewolucję i Wojnę Domową, a następnie przez dwie klęski głodowe oraz ogólne pogorszenie się warunków społecznych i zdrowotnych. Ponad to zaś równoległe ze znaczną emigracją chłopską, szczególnie podczas okresów głodowych, miał tam miejsce stały przyływ robotników przemysłowych z północy, jako wynik planowania gospodarczego. Trudno jest zatem uniknąć następującego wniosku: przyrost ludności w ciągu dwudziestolecia od Rewolucji był nienormalnie powolny, równocześnie jednak zmiana w składzie ludności była gwałtowna. Ukraińcy ustawicznie znikali i opuszczali swój kraj rodzinny, a zastępowali ich żywioły inne, przede wszystkim przybysze z Rosji Środkowej i Północnej.

“Ważną sprawą jest upewnienie się co do liczby Ukraińców na terytorium Ukraińskiej S.S.R. (Autor opierał się, jak to wynika z niecytowanej części tekstu, na spisach sowieckich z 1926 i 1933 r., oraz zapewne na innych jeszcze źródłowych opracowaniach, o tyle dokładnych, o ile to w zerknięciu się z danymi sowieckimi jest w ogóle możliwe. — Przyp. “M.P.”). Wedle statystyk sowieckich odsetek Ukraińców wśród ludności miejskiej Ukrainy, dochodzącej liczby 8 milionów, wynosił tylko 30%. Wśród ludności wiejskiej Ukrainy mają większość, nie wszędzie jednak równo-

miernie rozłożoną. W niektórych okolicach jest ich ponad 80%, w innych (jak okręg Odessy) 60%, w części wiejskiej Okręgu Donieckiego nie wiele ponad 50%. W roku 1926, w okresie “ukrainizacji” popieranej przez rząd, z 30 milionów ludności 24 miliony osób zarejestrowały się jako Ukraińcy, ale nawet z tych “rdzennych” Ukraińców 15% podało jako swój język ojczysty — rosyjski. Od tego czasu wielkie katastrofy spadły na wiejski lud Ukrainy. Liczy się, że około 3 miliony wyginęło od głodu we wczesnych latach trzydziestych, a ponad to na pewno dwa miliony wyemigrowało na skutek warunków, które stały się dla nich nieznosne (Przyp. “M.P.”: trzeba czytać: zostało przymusowo deportowanych). Straty te nie zostały całkowicie wyrównane przez przyrost naturalny i są wszelkie podstawy do sądzenia, że liczba rdzennych Ukraińców wśród ludności wiejskiej Republiki zmniejszyła się od 1930 r. co najmniej o 4 miliony. Jeżeli w tym czasie liczba osób używających języka ukraińskiego i uważających się za Ukraińców dochodziła 20 milionów, obecnie nie pozostało chyba więcej chłopów ukraińskich niż 16 milionów. Jeśli dodać do tego Ukraińców, mieszkających w miastach, całość wynosi prawdopodobnie około 18 milionów. Innymi słowy, ukraińska ludność Sowieckiej Ukrainy (przed wkroczeniem Galicji Wschodniej) wynosiła nie wiele więcej niż połowę całej ludności.

“Cyfra ta ma swoją wymowę: rząd sowiecki bardzo się przyłożył by osiągnąć rezultaty, na których polityce jego zależało, a mianowicie, nie można już uważać, by Ukraińcy w Ukraińskiej S.S.R. mieli dużą większość. Wynika stąd, że prawie połowa ludności (16 do 17 milionów) to już nie Ukraińcy. Wśród tych obcych elementów nie wiele mniej niż dwa miliony liczą Żydzi; około miliona Mołdawianie; na jeszcze jeden milion składają się różne narodowości — Białorusini, Polacy, Grecy, Niemcy. Pozostałe 12 do 13 milionów składa się albo z osób urodzonych na Ukrainie, które nie chcą uważać się za Ukraińców, lub z “przybyszów” z innych części Związku Sowieckiego. Liczba tych “przybyszów” wynosić musi 8 do 9 milionów.

“Na uwagę zasługuje, że w ostatnich latach (od 1930 r.) rząd stosował wszelkie środki, by zachęcać do osiedlania się tych “przybyszów” nie tylko w okręgach przemysłowych, lecz także czysto wiejskich. Jasne jest, że Moskwa nie życzy sobie, by istniały rozległe okolice wiejskie z ludnością całkowicie i jednolicie ukraińską. Rząd dąży do tego, by grupy “kołchozów” na terytorium ukraińskim usytuowane były w mozaikę. Corocznie we wszystkich Okręgach Wojskowych Związku Sowieckiego wysłuzeni żołnierze, jacy w podaniach stwierdzają, że nie życzą sobie powrotu do rodzinnych okolic z powodu braku tam gruntów, zaciągani są do specjalnych kołchozów Czerwonej Armii. Kołchozy te, obsadzone ludźmi z najróżniejszych narodowości Związku Sowieckiego, rozprowadzane są po najlepszych gruntach wiejskiej Ukrainy”.

Tyle p. Allen.

WOJNA I PO WOJNIE

Wojna przyniosła Ukrainie najpierw mobilizację mężczyzn i kobiet do sił zbrojnych sowieckich, następnie ewakuację przemysłu, z kolei walki z armiami niemieckimi posuwają-

cymi się na wschód, potem okupację i dewastację niemiecką, jeszcze później nowe walki i nowe niszczenie kraju przez cofających się Niemców i atakujących Rosjan, a wreszcie exodus niektórych elementów ukraińskich na zachód i powojenne prześladowania podejrzanych politycznie Ukraińców przez N.K.W.D. Jak dzisiaj przedstawia się stan liczbowy ludności ukraińskiej na Ukrainie oraz terenach przyłączonych od Polski i Rumunii?

Nieco światła na tę kwestię rzuca polski badacz, p. Ryszard Wraga. W numerze 2-3 kwartalnika *Sprawy Międzynarodowe* (Londyn, 1947) pisze on w artykule p.t. *Imperializm Wszeschojski a Ukraina*:

“Ukraińców według spisu z 17 grudnia 1926 r. było na całym terenie Z.S.R.R.*) 31,194,976 ludzi, z czego na terenie Ukraińskiej Republiki około 25.600.000: stanowili oni 21,2% ogółu ludności Z.S.R.R. Według spisu z 17 stycznia 1939 r. było ich na całym terenie Ukraińskiej Republiki ok. 17.500.000, a stanowili 16,5% ogółu ludności. W maju 1941 r. Związek Sowiecki w wyniku wspólnej z Niemcami agresji winien był posiadać przeszło 34 milionów Ukraińców, a na terenie “rozszerzonej” Republiki Ukraińskiej około 22 miliony.

“Straty wojenne narodu ukraińskiego wynoszą około 8 milionów. Ze względu na zastosowanie do Ukraińców specjalnego “klucza” mobilizacyjnego i użycie oddziałów ukraińskich na najtrudniejszych odcinkach frontu, jak np. pod Moskwą, Leningradem, Stalingradem czy Kurskiem, straty ukraińskie były nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do strat rosyjskich.

“Mimo to ogólna liczba Ukraińców w granicach Z.S.R.R. nie przekraczała w końcu 1946 r. 22 milionów, z czego było na terenie Republiki Ukraińskiej około 14 milionów. Około 4 mil. Ukraińców padło z tymi ofiarą represji sowieckich zarówno w czasie wojny, jak też po wojnie, kiedy to jeszcze do końca 1946 r. na całym terenie Ukrainy walczyły z Moskwą oddziały partyzanckie”.

Zebrał M. R.

*) P. Wraga od lat używa przymiotnika “radziecki” w języku polskim zamiast “sowiecki” i skrótu Z.S.R.R. zamiast Z.S.S.R., choć praktyka ta nie ma żadnego rzeczowego uzasadnienia. Rozumieją to doskonale antykomunistyczni autorowie ukraińscy, którzy nie dopuszczają do swego języka tych sowieckich fabrykatów. M. i. cytowany przez nas wyżej ukraiński autor z *Ukraińskiej Trybuny* z całą konsekwencją nie uznaje w języku ukraińskim tych komunistycznych nowotworów.

MARIAN PANKOWSKI

ZIEMIA NIEOBESZŁA

*Już słowem objawiam gościńce u ramion.
Tak szorstko grają na wiatrach
ponad ogrodem wiszących okolic,
uwiązane w horyzoncie.*

*Już piętrzą się rzeki w gotyk płomienny
nad murawami pszczoł muzykujących.
Przesypują się w trawach brylanty
naprawdę niezwykle.*

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

POLSKA I JEJ WSCHODNI SĄSIEDZI

MOJE DWA ARTYKUŁY na temat zagadnienia wschodniej granicy Polski, ogłoszone w *Lwowie i Wilnie* oraz w *Myśli Polskiej*, wywołały szeroką polemikę w prasie polskiej, co utwierdza mnie w przekonaniu, że poruszenie tego tematu było wskazane. Mógłbym tylko żałować, że dyskusja nie zawsze była na najwyższym poziomie publicystyki, co tłumaczę wszakże drażliwością niektórych problemów nią objętych oraz młodzieńczą gorącością temperamentów osób biorących w niej udział.

Polemika dotyczyła z grubsza trzech spraw: 1) mojego poglądu na istotę konfliktu polsko-rosyjskiego; 2) określenia funkcji Ukraińców, Białorusinów i Litwinów w naszym konflikcie granicznym z Rosją; 3) mojego stosunku do zagadnienia “przyszłości Rosji”. Wszystkie te kwestie były w moich artykułach potraktowane ubocznie, na marginesie głównego tematu, którym było podkreślenie znaczenia dla Polski posiadania Ziemi Wschodnich. Podkreślenie takie wydawało mi się potrzebne, gdyż w ostatnich czasach można było dostrzec osłabienie dotychczasowej zasadniczej postawy w tej kwestii na tle pewnych nowych pomysłów. Moi oponenti ostrożnie zбочyli od tego tematu głównego, natomiast wdali się w polemikę z mną odnośnie tamtych kwestii ubocznych w moim artykule i dlatego ujętych skrótami, posługując się jak gdyby przy tym moimi niedomówieniami dla wyprowadzenia interpretacji całkowicie opacznej, lub nawet przypisując mi twierdzenia, których nigdy nie wypowiedziałem. Dlatego obecnie chciałbym tym sprawom, bynajmniej nie przypadkiem zacepionym w dyskusji, poświęcić nieco więcej uwagi.

1. *Istota konfliktu polsko-rosyjskiego* jest sama w sobie rzeczą skomplikowaną, została już jednak dostatecznie wyjaśniona przez naszych historyków i pisarzy politycznych oraz przez wielowiekową praktykę stosunków polsko-rosyjskich. Dlatego nie jest nawet rzeczą konieczną cytowanie w tej sprawie zagranicznych “arbitrów”, jak to czyni p. Stanisław Starzewski w *Orle Białym* z dn. 25 października, zwłaszcza, że i sformułowanie przed niego przytoczone nie jest kompletne. Będziemy natomiast bliscy prawdy, jeżeli stwierdzimy — bez powoływania się na żaden autorytet zagraniczny, czy polski — że konflikt polsko-rosyjski jest zarazem konfliktem psychologicznym (lub ideowo-psychologicznym)

politycznym i terytorialnym. To zdaje się wyczerpuje całość zagadnienia. Dodajmy wszakże, że nie każde z powyższych podkreśleń jest równie charakterystyczne i specyficzne dla stosunków polsko-rosyjskich.

Konflikt psychologiczny płynie z głębokiej różnicy umysłowości i charakteru Polaka i Rosjanina, wynikającej, pomimo pokrewieństwa rasowego, z odmienności dwóch kultur i dwóch światopoglądów. Różnice te, istniejące od całych wieków, na pewno nie zostały zmniejszone przez rewolucję bolszewicką. Należy wszakże pamiętać, że to wszystko, co dzieli Rosjanina od Polaka, dzieli go w ogóle od Zachodniej Europy i od tych wszystkich społeczeństw, które żyją pod wpływem pojęć zachodnio-europejskich. Powyższy konflikt psychologiczno-kulturalny nie jest zatem zjawiskiem, występującym wyłącznie w stosunkach polsko-rosyjskich.

Konflikt polityczny polsko-rosyjski był od dawna zjawiskiem rywalizacji dwóch wielkich narodów, sąsiadujących ze sobą granicami swoich państw, których interesy ze sobą kolidowały. Wyjątkowe były w historii tych stosunków momenty, kiedy istniała zgodność interesów obu państw. Tak było w drugiej połowie XVII w. na tle niebezpieczeństwa tureckiego — ale i wówczas dominowała nad nimi zasadnicza rywalizacja. Urastała potęga Rosji — głównie kosztem Polski — przez cały wiek XVIII, w rezultacie czego nastąpił upadek Państwa Polskiego. Znikła Polska, zaś Rosja wyłoniła się jako główne mocarstwo we wschodniej Europie, gwałtownie ekspandując w kierunku zachodnim. Ekspansję tę zatrzymała dopiero nowa potęga Rzeszy Niemieckiej, uformowana przez Bismarcka. Jednak i ta potęga nie mogła przeskodzić pochodowi wpływów rosyjskich w głąb doliny Dunaju oraz w kierunku Morza Adriatyckiego, podkopujących w samych podstawach egzystencję Monarchii Austro-Węgierskiej. Tym niemniej, jak długo istniała ta monarchia, związana “sojuszem Nibelungów” z Niemcami, jej narody oraz sąsiednie narody bałkańskie nie były zmuszone podzielić losu Polski.

Zwycięstwo rewolucji bolszewickiej w Rosji zbiegło się nieomal w czasie z upadkiem Monarchii Austro-Węgierskiej oraz z odbudowaniem Państwa Polskiego. Polska stanęła teraz pomiędzy Rosją a Zachodnią Europą — i Polska zasłoniła sobą mniejsze państwa Europy Środkowo-Wschodniej przed oddziaływaniem wpływów Rosji i jej nowego ustroju. Sowiety niezbyt chętnie pogodziły się z tą rolą Polski, same nie czując się na siłach, aby barierę polską rozwalić. Uczyniły to w r. 1939 — na spółkę z Niemcami.

W nowym układzie stosunków, po Drugiej Wojnie Światowej, cała Środkowa i Wschodnia Europa znalazła się w zależności od Rosji. Los Polski dzielą Rumunia, Węgry, Bułgaria, Jugosławia, Czechosłowacja, Finlandia i wschodnie Niemcy oraz wschodnia Austria, nie mówiąc o małych państwach bałtyckich. Położenie wszystkich tych krajów jest w istocie rzeczy identyczne. Identyczne byłoby też położenie innych państw europejskich, gdyby poddane zostały kontroli reżymu komunistycznego, jak n.p. Włoch, czy Francji. Potęga olbrzymiej Rosji Sowieckiej rozpościera się w tej chwili nad całą Europą, sięga ona aż do Francji i Anglii. W nowym układzie rzeczy nie ma w Europie drugiej siły politycznej,

*I niechaj taje puch dmuchawca —
muszlisty żagla profil — i obłoki.
Niechaj kołyszą się zimy
w jedwabnych sznurach śniegu.*

*Czuję cię, Ziemo — nieobeszła,
jasna i dobra, jak plaster zaszytej patoki,
jak ciepłe szyby domu wigilijnego.*

MARIAN PANKOWSKI

UWAGI

ZWYCIĘSTWO DE GAULLE'A

Zwycięstwo generała de Gaulle i jego ruchu *Rassemblement du Peuple Français* w ostatnich wyborach miejskich i gminnych stanowi zdarzenie, które posiadacze będzie daleko idące konsekwencje dla przyszłości Europy nie tylko Zachodniej. Osłabienie Francji w wyniku drugiej wojny światowej było tak znaczne, a jej rozbiście wewnętrzne tak duże, że ten stan musiał odbijać się ujemnie na losach całego kontynentu europejskiego. Głównym powodem rozdarcia wewnętrznego narodu francuskiego była partia komunistyczna, która, jak wszędzie, wprawdzie stroiła się w patriotyczne piórka, nie mniej była jednak obcym narzędziem i obcym interesem służyła. Była przy tym do niedawna siłą najlepiej zorganizowaną i najbardziej zdyscyplinowaną. Komuniści francuscy w istocie rzeczy mieli wszystkie szanse opanowania władzy, a co najmniej mogli sabotować skuteczną politykę wewnętrzną, która miała na celu szybką odbudowę kraju, i paraliżować wszelką politykę zagraniczną, która nie pokrywała się z interesami Moskwy.

Obóz przeciwny komunistom natomiast był skłcony z różnych grup, wewnętrznie podzielony i w konsekwencji bezwładny. Próba "drogi środkowej", której zwolennikami byli socjaliści z grupy Bluma i Ramadier, a także przywódca chrześcijańskiej demokracji z *Mouvement Republicain Populaire*, nie powiodła się, bo trudno o kompromis tam, gdzie walka toczy się o rzeczy najbardziej zasadnicze, o narodowe "być albo nie być" w sensie moralnym i politycznym.

Z początku wydawało się, że ruch generała de Gaulle ma niewiele szans powodzenia. Wśród zwolenników jego znaleźli się zrazu ludzie starsi wiekiem, brak było w jego szeregach wiary i entuzjazmu, a przede wszystkim nie dysponował organizacją, która mogłaby się równać z komunistami. Jeżeli mimo to de Gaulle zwyciężył, oznacza to, że społeczeństwo francuskie rozeznalo swoje położenie, odnalazło swoją duszę i ma wolę podjęcia na nowo swojego posłannictwa. Głosy oddane za de Gaullem nie były głosami za jego osobą, ile głosami oddanymi za Francją i za cywilizacją europejską. Choć zapewne długi jeszcze będzie proces odrodzenia, nie mniej Francja weszła na nową drogę. Nie pozostanie to bez wpływu na losy walki narodu polskiego o niepodległy byt.

ROZGRYWKA

AMERYKAŃSKO—ROSYJSKA

Od siedmiu już miesięcy trwa w polityce międzynarodowej ofensywa dyplomatyczna Stanów Zjednoczonych. Została ona zapoczątkowana przez ogłoszenie tzw. doktryny Trumana, której założeniem zasadniczym było przeciwstawienie się dalszej ekspansji Rosji Sowieckiej i komunizmu. W praktyce doktryna Trumana znalazła natychmiastowe zastosowanie w Grecji i Turcji. Drugim etapem był plan Marshalla. Z jednej strony stanowił on uzupełnienie doktryny Trumana, jednocześnie jednak w ogólnej strategii politycznej był on pomyślany jako punkt wyjścia do dalszej akcji uporządkowania stosunków międzynarodowych przy pomocy środków ekonomicznych. Niewątpliwie Marshallowi chodziło o to, by zachwiana przez układ jałtański równowaga w Europie podeprzeć po stronie mocarstw zachodnich. Są jednak podstawy, żeby przypuszczać, iż w świadomości kierowników polityki amerykańskiej istniały i istnieją

poważne wątpliwości, czy Europa Zachodnia — wsparta przez Stany Zjednoczone i nawet razem z Niemcami zachodnimi — będzie mogła stanowić dostateczną przeciwwagę potężne Związku Sowieckiego i zorganizowanemu przez Moskwę blokowi państw satelickich.

Wątpliwości te znalazły wyraz zarówno w znanym artykule szefa biura planowania politycznego przy Departamencie Stanu, p. Kennana w miesięczniku *Foreign Affairs*, jak i w analizie stosunków amerykańsko-rosyjskich przeprowadzonej z powodu tego artykułu przez znanego publicystę Waltera Lippmanna w serii artykułów w *New York Herald Tribune*. Spór a raczej polemika między Kennanem i Lippmannem dotyczy celów i metod polityki amerykańskiej w rozgrywe z Rosją. O ile Kennan proponuje powstrzymanie ekspansji sowieckiej na wszystkich odcinkach, na których by się pojawiała w najbliższych latach, z tym, że "system sowiecki sam w sobie zawiera zarodki własnego rozkładu", o tyle Lippmann uważa, że Ameryka, posiadająca system wolnej ekonomii, nie potrafiłaby przerzucić swoich sił do stale zmieniających się punktów parcia na całe długości granic Rosji. Dałoby to bezsprzeczną inicjatywę i zdecydowaną przewagę Moskwie. Dlatego — zdaniem Lippmanna — trzeba, by Ameryka określiła wyraźnie i jasno cel, jaki chce osiągnąć. Celem tym powinno być wycofanie Armii Czerwonej do właściwych granic Rosji. W krajach Europy Środkowej dziś okupowanych, pozostaną wprawdzie piąte kolumny w postaci partii komunistycznych, ale będą one pozbawione głównej podpory, jaką dzisiaj dają im wojska rosyjskie. A gdyby Moskwa znowu zdecydowała im dać poparcie militarne, byłoby to wyraźną agresją i wyraźnym *casus belli*.

Do pewnego stopnia tezy Lippmanna zostały podjęte w świeżo wydanej książce b. Sekretarza Stanu, Byrnese. Różnica polega na tym, że Byrnes ogranicza najbliższy cel polityki amerykańskiej do wycofania Armii Czerwonej z Niemiec. Jeśli by Rosja odmówiła, Ameryka powinna w ramach Narodów Zjednoczonych (poza państwami bloku sowieckiego) osiągnąć ten cel siłą. W takim sformułowaniu tkwi niewątpliwie ukryta oferta nowego "targu" obszarem Europy Środkowej.

Trudno przewidzieć, jaką drogę obierze oficjalna polityka amerykańska na listopadowej konferencji w Londynie w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami. Nie ulega jednak wątpliwości, że Waszyngton nie wypuści inicjatywy ze swoich rąk — tym bardziej, że dotychczasowe wyniki osiągnięte w stosunkowo niedługim czasie są znaczne. Niebezpieczeństwo rewolucji komunistycznej w Grecji zostało prawie zażegnane. Groźba wisząca nad Turcją zmalała. We Włoszech, a zwłaszcza we Francji siły anty-komunistyczne skonsolidowały się do tego stopnia, że oba te kraje mogą w niedługim czasie stanowić nie obciążenie, ale znakomitą pomoc w nowej fazie rozgrywek dyplomatycznej z Rosją. Z drugiej strony posunięcia sowieckie, które miały stanowić odpowiedź na inicjatywę amerykańską, zarówno utworzenie tzw. *kominformu* w Białogrodzie, jak i gwałtowne wystąpienia Wyszynskiego w Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych przeciwko "podżegaczom do wojny", nie osiągnęły skutku, jaki mogłyby osiągnąć jeszcze rok temu. Jedyne realne osiągnięcia rosyjskie w postaci przyspieszonego obecnictwa likwidacji potencjalnych ośrodków oporu w krajach satelickich, na pewno nie ułatwią Moskwie sytuacji na dłuższą metę.

DEMONSTRACJA POLITBIURA W WARSZAWIE

Październik bieżącego roku był miesiącem bogatym w wydarzenia na frontach t.zw. *cold war*. Do rzędu tych wydarzeń należy ujawnienie jednej z sekcji moskiewskiego Politbiura, a mianowicie *Kominformu*, ogłoszonego jawnie na zjeździe sowieckich mocodawców i ich agentów w Warszawie. Faktowi temu został nadany wielki rozgłos zarówno po tej jak i po tamtej stronie "frontu," oczywiście z dwóch różnych powodów.

Demonstracja warszawska z udziałem sztabowych czynników światowej agentury komunistycznej, udział w niej delegatów Francji i Włoch, jest tylko manewrem taktycznym, będącym odpowiedzią na wysiłki amerykańskie powstrzymania pochodu sowieckiego na Europę Zachodnią bez wojny. Zjazd komunistów okupacyjnej strefy sowieckiej i agentur z Zachodu w niczym nie zmienił taktyki rzekomo rozwiązanego *Kominternu*. Właściwe instrukcje, szczegółowo opracowane, wydawane są nadal, jak i poprzednio, przez Politbiuro w Moskwie. Elastyczna taktyka i gra bolszewików uraczyła już przed kilku laty świat podobną "sensacją", a mianowicie rozwiązaniem *Kominternu* w maju 1943. W rzeczywistości było to tylko przeniesienie biur z jednej ulicy na drugą. Celem tamtej demonstracji było uśpienie przeciwnika, który zresztą z dziecinną naiwnością dawał się uśpić. Ośrodek i linia wytyczna polityki komunistycznej pozostały niezmiennione. Społeczeństwa zachodnie były wtedy kołysane przez propagandę, idącą z góry, wiarą w demokratyczną ewolucję komunizmu. Wierze w ten dogmat służyło wszystko od dyplomacji, konferencji i traktatów aż po film i radio. I dziś jeszcze dawną siłą inercji można niejedno zobaczyć z tego "prehistorycznego okresu" lat 1941-1945. Dziś jednak demonstracja sowiecka, obliczona na zastraszenie społeczeństw Europy Zachodniej i na pobudzenie własnych organizacji — spotyka się z oporem.

Odpowiedź na *Kominform* przysła natychmiast w postaci okrzepnięcia frontu anty-komunistycznego we Francji; na drugiej półkuli państwa Ameryki Łacińskiej zaostrzyły kurs wobec sowieckiej penetracji. Doszło nawet do tak drastycznych wydarzeń jak zerwanie stosunków dyplomatycznych przez Brazylię i Chile z Rosją Sowiecką oraz jej satelitami. Jest to dalszy ciąg akcji politycznej, o której na zjeździe bolszewickim w Warszawie mówiono, że jest "prowadzoną przez Amerykę wojną ideologiczną ze Związkiem Sowieckim". Czy tytuł wojny ideologicznej nie jest na razie zbyt szumny — oto pytanie nurtujące dzisiaj każdego wolnego człowieka, a przede wszystkim nas, Polaków. Jakaż to idea skupia i cementuje narody do walki z komunizmem? Czy idea ta jednocześnie pozwala na bezkarne tepienie cywilizacji i żywych sił na olbrzymim obszarze Europy Środkowo-Wschodniej? Czy parę not dyplomatycznych jest właściwą wykładnią tej idei?

Reakcja ze strony zagrożonych narodów jest na razie działaniem spontanicznym, własną obroną tylko. Do tej pory trwa ciągle system defensywny wobec Sowietów a być może i dziś jeszcze się liczy na jakiś cud, który pokojowo utrwali podział świata na ludzi wolnych i niewolników. Dlatego do dnia dzisiejszego takie akcje jak *Kominform* są nieprzerwaną ofensywą Sowietów. Niebezpiecznym błędem ze strony wolnych narodów byłoby przypuszczenie, że przegłosowaniem na ONZ czy wysłaniem komisji uda się zlokalizować agresję sowiecką. Jak dotychczas umacnia się ona na pozycjach zdobytych, gorączkowo organizując siły własne do następnych uderzeń. Do dziś jeszcze świat nie poczynił zdecydo-

wanych kroków w organizowaniu własnej akcji, do dziś jeszcze pragnie wykazywać swą "dobrą wolę".

Oczyszczanie przez narody zachodnie własnych terenów z postępującej konspiracji komunistycznej jest zaledwie wstępem do początku. Ale i to coś stanowi więcej niż nic.

TEZY ABSTRAKCYJNE

W jednym z tygodników emigracyjnych toczy się ostatnio dyskusja na temat taktyki, którą kraj winien obrać w stosunku do administracji narzuconej Polsce przez Sowietów.

Dyskusja ta zastanawia i doprowadza chwilami czytelnika do bardzo smutnych wniosków. Tematem jej najbliższym jest t.zw. podział ról pomiędzy krajem i emigracją, oraz wynikająca z takiego podziału taktyka "przetrwania" w kraju. Jeden z autorów artykułów podkreśla jako czynnik pozytywny w życiu kraju trwanie otwartej walki politycznej z zaborem czy z jego widomymi przedstawicielami i stwierdza, że opinia w Polsce ulega krystalizacji.

Zyjemy w okresie pojmowania polityki jako wojny totalnej. Modę na to wprowadzili bolszewicy i trzeba to dobrze pamiętać, gdy się o nich mówi lub myśli. Dlatego to zagadnienie oporu otwartego lub całkowitej bierności politycznej należy traktować nie tylko z punktu widzenia sytuacji psychologicznej własnego społeczeństwa ale również zamierzeń przeciwnika i fazy, w której te zamierzenia się znajdują.

Po prostu: nie można mówić o sytuacji Polski w oderwaniu od planów Sowietów. Wszystkie opowiadania, że polityka rosyjska "załamała się" czy "potknęła" są opowiadaniem dla grzesznych dzieci, jeśli się źle ocenia politykę sowiecką. Najłatwiej się zaś pomylić gdy przypisuje się państwu totalnemu dążenie do pozyskania sobie większości jakiegoś społeczeństwa.

Rosjanie prowadzą polityczną wojnę totalną o panowanie na kontynencie europejskim i azjatyckim. Wojnę totalną — to znaczy, że stosują w polityce zasady wojenne: rozpoznanie sił przeciwnika przez prowokację do walki, penetrację piątej kolumny w szeregach wrogów, zaskoczenie, obejście, rozbijanie wroga na oddzielne grupy likwidowane po kolei, niszczenie nie biorących udziału w walce, ale nadających się do mobilizacji ośrodków siły ludzkiej, likwidację całkowitą bez reszty. Kto tego nie widzi i zakłada, że taktyka rosyjska jest podobna do stosowanych wiek temu metod dyplomatycznych i parlamentarnych — nie rozumie epoki, w której żyjemy.

Dalej bolszewicy wcale nie starają się o pozyskanie "większości", ani też "mas". Wynika to z ich wojenno-rewolucyjnego pojmowania społeczeństw. Większość jako pojęcie polityczne jest dla nich pustym słowem. Własna ich bowiem nauka socjologii szuka sił działających w mniejszościach. Sami zawsze i wszędzie byli mniejszością, ich bożyszczem organizacyjnym był i jest "aktyw" mała grupka ludzi wiedzących czego chcą i dość energicznych, by osiągnąć cel każdym możliwym sposobem.

Dla tak wychowanych ludzi nie istnieje sprawa pozyskiwania mas przez ich przekonań, ale tylko i wyłącznie zagadnienie stworzenia własnego aktywu i fizycznego zniszczenia aktywów innych. W walce tej istnieje pewien plan, czasem dość luźny, czasem dokładny i ścisły, zawsze jednak zakreślający cele ostateczne i pośrednie do osiągnięcia w określonym miejscu i w określonej chwili. Kto się chcący czy niechcący uwikła w walkę z nimi musi za wszelką cenę dążyć do poznania ich planu lub co najmniej tak wystudiować ich zasady taktyczne (na ogół znane i opisane przez Lenina

i Stalina), by nie strzelać w próżnię, ale dokonywać posunięć istotnie szkodzących bolszewikom, a korzystnych dla własnej sprawy.

Musi także pamiętać, że to co dlań jest korzystne może w pewnych warunkach być jeszcze bardziej korzystne dla przeciwnika. Np. zagadnienie oporu społeczeństw zależnie od miejsca geograficznego i okresu czasu może być bronią obosieczną. W pewnym okresie czasu większy opór społeczeństwa wobec Sowietów (jawny, wyrażający się w słowach lub czynach) może być pożądanym dla bolszewików, a nawet spowodowany przez nich.

Na wojnie nazywa się to rozpoznanie przez walkę, umiejscowieniem sił głównych wroga, by je potem łatwiej zniszczyć. Z tego nie wynika, że nie należy opierać się, ale wynika, że wszelki opór musi być posunięciem celowym, a nie tylko postawą psychiczną.

Jednocześnie należy sprecyzować sobie co uważamy za najrozsądniejszą taktykę z punktu widzenia naszych interesów. Musimy sobie odpowiedzieć czy chcemy: po prostu prowadzić walkę; dopomóc do klęski Sowietów; dopomóc do zwycięstwa ich przeciwników; doprowadzić do zwycięstwa na świecie konkretnego ustroju politycznego; czy też zależy nam na zdobyciu niepodległości Polski bez względu na to jaki będzie wówczas ustrój świata i jego większości, niezależnie od całkowitego lub częściowego zakończenia walki.

Właściwa odpowiedź na to pytanie musi być skorygowana odpowiednio przez należytą ocenę naszych sił i możliwości oraz przybliżone określenie, jakie siły chcielibyśmy zachować na okres po zakończeniu walki.

Bardzo wielu ludzi pisze o naszej walce przeciw najeźdźcom, tak jakby przychodzili z innej planety, lub jakby odkryli istnienie Rosjan dopiero wczoraj.

Mieliśmy już jednego Mikołajczyka, który nie bardzo wiedział z kim ma do czynienia i co może uzyskać, zaczęliśmy mieć następnych, którzy ciągle niczego się nie nauczyli i prowadzą wojnę z bolszewikami nie siłąc się wcale na znajomość przeciwnika.

SZKODLIWE WYSTĄPIENIA

W ciągu ostatnich lat w krajach Zachodu, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, wiele mówiono i wiele pisano na temat t.zw. linii Curzona, jako rzekomo słusznej i sprawiedliwej granicy wschodniej Polski. Mimo to nie ulega wątpliwości, że politycy i publicyści, linię tę aprobujący ze względów politycznej *expediency*, zdają sobie dobrze sprawę, że po Pierwszej Wojnie Światowej nikt "linii Curzona" nie uważał za ostateczną delimitację i że takie jej potraktowanie w Teheranie i Jalcie stanowi ciężką krzywdę, wyrządzoną narodowi polskiemu.

W przekonaniu tym utwierdzać musi wszystkie czynniki poinformowane fakt nieprzejednanej w tej sprawie postawy społeczeństwa polskiego, której wymownym przykładem było obalenie kapitulacyjnego premiera Mikołajczyka w końcu listopada 1945 roku. Przywiązanie, jakie naród polski wykazał w najkrytyczniejszym okresie swych dziejów do Lwowa i Wilna, nie zdołał przezwyciężyć na naszą korzyść szali w ponurych latach 1944 i 1945, — niemniej można przypuścić, że w razie zmiany położenia międzynarodowego i ponownego wypłynięcia sprawy polskiej musiałoby być wzięte poważnie pod uwagę. Stąd też dla nas kategorię nakaz wytrwania w doryczałowej postawie obrony granicy Traktatu Ryskiego bez żadnych wahań czy załamania. Takie też stanowisko zajmuje nadal 99% społeczeństwa polskiego w Polsce i za granicą, choć Polacy w Kraju pozbawieni

są w obecnych warunkach możliwości wypowiedzenia się.

Tym bardziej szkodliwe są wystąpienia niektórych (nie wszystkich oczywiście), polityków i publicystów lewicowych na emigracji, mogące wywoływać na zewnątrz wrażenie, że w jednolitym do tej pory froncie polskim powstały szczyberby.

Wypowiedź p. Zygmunta Zaremby w *Wiadomościach* z dnia 17 października rb. jest dalszym ciągiem szkód wyrządzanych polityce polskiej przez doktrynerów spod znaku międzynarodówek. Ostatnia próba podważenia praw Polski do jej terytorium państwowego stanowi logiczny dalszy ciąg tych, które podejmowane były przez *Światło* w formie dyskusyjnej.

W innej nocy wyrażamy nasz pogląd na tezy polityczne p. Zaremby i jego grupy w odniesieniu do kraju.

Na tym miejscu notujemy z gorzką satysfakcją, żeśmy się nie mylili sprzeciwiając się mętnym wypowiedziom *Światła* i t.zw. Koncentracji Demokratycznej na temat polskich Ziemi Wschodnich. Twierdzone wówczas ze strony przeciwniej, że wykorzystujemy wypowiedzi dyskusyjne dla celów doraźnych. Ukazały się nawet "wyjaśnienia" zaciemniające dalej obraz polityki "koncentracyjnej" na tym odcinku. Artykuł p. Zaremby w *Wiadomościach* jest wypowiedzią dotychczas najbardziej charakterystyczną. Gdy w czasie powoływania Zjednoczenia Polskiego usuwano z jego członków związki regionalne, poświęcając swój program obronie polskiego terytorium na wschodzie, — wiedzieliśmy, co to znaczy. Gdy Koncentracja Demokratyczna ogłaszała swoje niestawne "dopóki i o ile", wiedzieliśmy, że to jest akcja dalszy ciąg. Gdy zaś p. Zaremba, wyraża swój brak entuzjazmu do granicy Traktatu Ryskiego — wiemy, że i to jest fazą następną w akcji osłabienia polityki polskiej dla dogodzenia przeróżnym kołom międzynarodowym, którym to może dogodzić. P. Zaremba stale powołuje się na program PPS, utożsamiając swoją frakcję z całością.

To wystarczy. Nawiasem tylko należy dodać, że krajowy p. Zaremba bardzo skrętnie konspirował to stanowisko podczas wojny. Socjaliści ani w Wilnie ani we Lwowie takiego programu nie ogłaszali. Ujawnienie takich celów spowodowałoby odpyły ostatnich członków spośród ludzi o poczuciu łączności z narodem i państwem polskim.

Na jasne choć tak bardzo szkodliwe stanowisko współpracownika pisma *Spartacus* *) — odpowiedź jest jedna: nie.

Niemniej jednak także niektóre bardziej umiarkowane głosy, jakie się pojawiły, mogły wywoływać wrażenie, że autorzy ich "zmiękli" w swym doryczałowym stanowisku. W naszym głębokim przekonaniu wystąpienia takie nie posuwają o krok naprzód kwestii porozumienia z Ukraincami czy Białorusinami, którego potrzebę głoszą, natomiast osłabiają pozycję Polski w sprawie jej Ziemi Wschodnich na gruncie międzynarodowym. Czynniki obce bowiem albo mogą rzeczywiście uwierzyć, że postawa społeczeństwa polskiego ulega w tej dziedzinie jakimś zmianom (co oczywiście nie jest zgodne z prawdą), albo też, jeśli to będzie w zgodzie z ich polityką, gotowe będą do tych nieostrożnych wypowiedzeń przypuścić się w przyszłości — i to w interpretacji odpowiednio rozszerzającej.

Wnioski z tego winny być jasne dla każdego Polaka bez względu na jego zabarwienie partyjno-polityczne, jeśli tylko drogą jest mu sprawa powrotu Lwowa i Wilna w granice odrodzonej Rzeczypospolitej.

*) Organ trockistów w Paryżu.

UCIECZKA MIKOŁAJCZYKA

Ostatnie dni października b.r. przyniosły wiadomość, która przez pewne środowiska informacyjne została rozdmuchana do rozmiarów "dramatycznej sensacji". Chodziło zaś o to, że po dwóch latach pobytu w Kraju p. Stanisław Mikołajczyk uciekł za granicę i powtórnie stał się emigrantem.

Zdarzenie to samo w sobie nie jest nadzwyczajne i było do przewidzenia od początku niemal krajowej kariery wicepremiera i ministra pod kierownictwem politycznym Bieruta i Gomułki. To właśnie z nimi, z tymi uznanymi przez p. Mikołajczyka "polskimi mężami stanu" rozpoczął on układy w Moskwie, w cieniu Kremla, porzucając zasadę państwowości polskiej, legalny rząd R.P., a uznając za władzę i państwo polskie to wszystko, co miało Polskę zwalczać. To właśnie p. Mikołajczyk rozpoczął proces bałamucenia społeczeństwa polskiego fikcją "niepodległości" i sztucznego patriotyzmu, robionego przez patriotów moskiewskich.

Spółcześnieństwo polskie, nadmierne wynieszone podczas lat wielkiego terrorku, przez pojawienie się Mikołajczyka w Polsce zostało wprowadzone w błąd. Witano go jak tego, za którym przyjdzie do Polski wolność prawdziwa, o którą walczył nasz żołnierz w kraju i na polach bitew razem z aliantami, ta, którą miały realizować drogą polityczną władze Rzeczypospolitej, polskie czynniki polityczne, polscy mężowie stanu. Odtworzony przez Mikołajczyka aparat partyni Polskiego Stronnictwa Ludowego był czymś więcej niż aparatem ludzi o poglądach ludowcowych. Wciągał jako jawna partia opozycyjna innych, obiecywał zorganizować społeczeństwo do walki o możliwą do zrealizowania tą drogą wolność narodu. Głosowania powszechne były demonstracją tego przekonania.

A tymczasem . . . Tymczasem nieprzyjacieli zorganizował swe własne siły do walki z narodem polskim, wysuwając zmontowany aparat policyjny na pierwszą linię walki. Dziesiątki tysięcy ludzi przeszło przez więzienia, inni zaś zniknęli w nich na zawsze. Dziesiątki tysięcy nowych zostało wywiezionych w głąb Rosji, miliony wyrzucone z siedzib, gospodarstwo narodowe zrujnowane. Moglibyśmy mnożyć te obrzemy nieszczęścia, które działy się w rzekomo niepodległej Polsce, pod rządami akceptowanymi i współtworzonymi przez Mikołajczyka.

Dla każdego, kto rozumie znaczenie walki o Polskę, o państwo i wolny naród kto pojęcia wolności i organizacji państwowej pojmuję jednoznacznie, a nie dwuznacznie czy wieloznacznie — wystarczą z ostatnich lat Mikołajczyka dwa rozdziały: dobrowolne odstąpienie od polskiej państwowości i całości terytorium państwowego oraz i spowodowanie dalszego wyniszczenia żywych sił narodu przez wciągnięcie ich do walki w momencie, w którym tylko człowiek całkowicie zaslepiiony mógł widzieć jakie kolwiek szanse powodzenia.

TENDENCYJNE SUGESTIE

Jeszcze kilka miesięcy temu czytaliśmy ustawnie w prasie brytyjskiej — a w znacznej mierze i amerykańskiej — o nieuleczalnej jakoby "antyrosyjskości" Polaków. Odwracając rolę wilka i baranka, przypisywano temu właśnie rzekomemu stanowi społeczeństwa polskiego i jego przywódców niemożność porozumienia między Polską i Rosją i wszystkie wynikię stąd dla nas klęski. Rząd sowiecki w tych warunkach ma prawo domagać się

a friendly government w Polsce — oto konkluzja, jaka powtarzała się bezustannie w różnych oświadczeniach i artykułach, m. in. także w przemówieniach Churchilla, usiłujących usprawiedliwić politykę Teheranu i Jały.

Jednak i potem jeszcze — do ostatnich chwil prawić — korespondenci brytyjscy i amerykańscy donosili o gwałtownie przeciwrosyjskich nastrojach w Polsce, ogarniających wszystkie warstwy społeczeństwa. Dopiero ostatnio w niektórych relacjach nastąpił zwrot niemal o 180 stopni. Pierwszym tego przejawem była depesza warszawskiego korespondenta *Times'a*, która ukazała się dnia 21 października r.b. p.n. *Pro-Soviet Feeling in Poland — Public Turning Against the West*. Twierdził on, że polska opinia publiczna coraz silniejsz orientuje się w kierunku przychylnym dla Moskwy i odwraca się od Zachodu, od którego niczego już się nie spodziewa. W parę dni potem, dnia 26 października, podobne sugestie ukazały się na łamach londyńskiego *Observer'a*, w depeszy jego warszawskiej korespondentki. "Coraz więcej Polaków — pisała ona — dochodzi do poglądu, że Amerykanie i inne zachodnie czynniki planują wojnę przeciw Sowietom, oraz "demokracjom ludowym" (*people's democracies*), które muszą się zjednoczyć. Pogląd, że Ameryka jest arcy-wrogiem pokoju i że w orszaku jej idą "socjaliści pravicowi" w W. Brytanii i Francji, wypowiadany jest teraz codziennie w prasie polskiej i w ogóle wschodniej Europy. Niestety, twierdzenie to poczyna być przyjmowane jako prawda i orientuje ono rosnącą liczbę osób, nawet bezpartyjnych, przeciw Zachodowi".

Przed tym jeszcze w depeszy mowa jest o poparciu, jakiego udzieliły nowoutworzonemu *Kominformowi* trzy "partie niekomunistyczne", należące do bloku rządowego, mianowicie socjaliści, demokraci, a ostatnio i "chłopi". Ta część depeszy umieszczona została pod osobliwym nagłówkiem: *Polish Peasants Accept Cominform*.

Ponieważ równocześnie czytelnikowi angielskiemu nie wyjaśnia się, że owe "niekomunistyczne stronnictwa" w koalicji rządowej są po prostu bezwolnymi marionetkami reżymu, ani że nie ma w Polsce prasy niezależnej, sugestia jest jasna: społeczeństwo polskie pogodziło się całkowicie z istniejącym stanem rzeczy i niczego się więcej nie obawia, jak zmian, do których dążą Zachód i "imperializm" amerykański. Cel takich sugestii może być tylko jeden: uznanie obecnego podziału w Europie za trwały i znalezienie dlań uzasadnienia w rzekomej postawie samych zainteresowanych społeczeństw. Słowem — jest to kontynuacja polityki *appeasementu*, posługująca się jak najbardziej tendencyjnymi i zniekształcającymi rzeczywistość argumentami.

Można sobie wyobrazić, jaką radość to inspirowanie, jakoby Polacy definitywnie "przymknęli" do *people's democracies* typu komunistycznego, wywoływać musi w Niemczech, zwłaszcza zachodnich, gdzie komunistów rosyjskich i Polaków pragnie się uważać — wbrew rzeczywistości — za jedno i to samo.

JAK JEST NAPRAWDĘ

Nie trzeba tu rozwodzić się nad tym, jaka jest istotna postawa społeczeństwa polskiego w Kraju. W okresie dwudziestolecia niepodległości nie mogło być w Polsce mowy o jakiejś zasadniczej "antyrosyjskości", — istniała tylko ściśle obronna postawa przeciw próbom infiltracji obcej nam duchem i tradycją doktryny i systemu komunistycznego. Polski przeciwniecki ruch podziemny w czasie wojny — mimo gorzkich doświadczeń lat 1939-1941 — szczerze stał na stanowisku porozumienia

z Rosją, z tym oczywiście, że nasze prawa państwowe i narodowe będą w pełni uszanowane. Jeszcze po szeregu nieprzyjaznych wystąpień rządu sowieckiego w sprawie naszych granic i obywateli polskich kierownictwo polskiego ruchu podziemnego i Armia Krajowa oddały wojskom sowieckim ogromne usługi.

Ta gotowość do porozumienia z Rosją odrzucona została brutalnie przez stronę sowiecką; podtrzymany został nie tylko zabór ziem wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej, ale i reszcie Polski narzucono przymocą rząd marionetek i sowieckich agentów. Zabrakło *friendliness* nie ze strony polskiej, jak niesumienne sugerowały czynniki "appeaserskie" na Zachodzie, — ale ze strony Moskwy.

Nastroje, wywołane w Polsce przez te gwałty, uległyby jednak niewątpliwie szybkiemu rozładowaniu, gdyby Rosja wraz ze swymi agentami ziemie polskie i w ogóle kraje Europy Środkowo-Wschodniej opuściła. Nie jest też prawdą, jakoby w Polsce dokonał się jakiś zwrot przeciw Zachodowi. Niewątpliwie polityka brytyjska i amerykańska wywoływać musi często w społeczeństwie polskim uczucia głębokiego rozczarowania i rozgoryczenia; nie znaczy to jednak, by chciało ono zrywać czy rozluźniać swe węzły cywilizacyjne z Zachodem.

Z drugiej strony panujący dziś w Polsce terror i brak widoków na bliskie oswobodzenie Kraju sprawiają, że społeczeństwo polskie, chcąc żyć i odbudować swój kraj gospodarczo, musi się w pewnym stopniu — bez uszczerbku dla swej narodowej indywidualności — dostosowywać do istniejących dziś w Kraju ram życia. Wspomniane wyżej relacje pism — o ile pisane są przez obywateli brytyjskich, co np. w wypadku *Times'a* nie zachodzi, — spowodowane są może w części faktem, że w obecnych warunkach Polakom trudno jest szczerze rozmawiać z cudzoziemcami, jeśli nie chcą ściągnąć na siebie natychmiastowych represji ze strony Bezpieki.

W tym zakresie charakterystyczne są obserwacje kongresmana Gordona, który brał udział w niedawnej wycieczce parlamentarzystów amerykańskich do Europy: "Kiedy byłem w Polsce dwa lata temu, jeszcze Polacy z nami, Amerykanami, rozmawiali. Nie miałem trudności w porozumieniu się z ludźmi spotkanymi na ulicy, lub w hotelu, czy w sklepach lub restauracjach. Obecnie jest inaczej — już boją się mówić z nami . . . Po procesach warszawskich i krakowskich, kiedy posyłano do więzienia a nawet rozstrzeliwano ludzi za to, że komunikowali się tylko towarzysko choćby z Amerykanami lub Anglikami, — już się ludzie boją nawet do obcych ust otworzyć. Zupełnie jak w Moskwie odseparowano Polaków od cudzoziemców . . . Boją się nawet kontaktów z naszymi delegatami, którzy administrują rozdawnictwem pomocy, nadsyłanej z Ameryki".

W tych warunkach trudno się dziwić, że nie tylko korespondenci prasowi, ale i ambasady brytyjska oraz amerykańska, skazane wyłącznie na kontakty reżymowe, muszą być coraz bardziej izolowane od rzeczywistych nastrojów społeczeństwa polskiego.

NISZCZENIE SZKOŁY

Dziwnie bez echa przechodzi w społeczeństwie polskim realizowana obecnie w Kraju reforma ustroju szkolnego. Do końca ubiegłego roku szkolnego obowiązywał w grubszym zarzysie ustrój wprowadzony jeszcze przez tzw. reformę Jędrzejewiczowską (6-klasowa szkoła powszechna, 4-letnie gimnazjum i 2-

letnie liceum). Od początku bieżącego roku szkolnego zaczęto wprowadzać zasadniczą zmianę.

Zmiana ta polega na przekształcaniu 6-klasowej szkoły powszechnej w 8-klasową Szkołę Podstawową. Dwie nowe klasy szkoły powszechnej mają już program mocno odbiegający od typu klas niższych a równocześnie klasy 5 i 6 szkoły powszechnej mają program zmieniony w kierunku upodobnienia ich do kursu gimnazjalnego. Ta wprowadzana już zmiana jest tylko wstępem do omawianej dalszej reformy w postaci skasowania w ogóle gimnazjum i dodania do Szkoły Podstawowej dalszych klas — 9 i 10.

Nie ulega wątpliwości, że jest to dostosowanie ustroju szkolnego polskiego do wzorów sowieckich, dokonywane przez komunistycznego ministra Skrzyszewskiego. W Rosji sowieckiej jak wiadomo podstawą ustroju szkolnego jest tzw. dziesięciolatka, 10-letnia szkoła jednolita.

Dodanie nowych klas szkoły powszechnej i stopniowa likwidacja gimnazjum nie są sprawą wyłącznie organizacyjną. Zasadniczą różnicą, jaką ta zmiana wprowadza, jest zastąpienie nauczyciela posiadającego wyższe wykształcenie uniwersyteckie nauczycielem o wykształceniu seminaryjnym. W chwili obecnej, przy braku nauczycieli w całej Polsce, kształcą się nauczyciele szkół powszechnych na zasadniczo dwuletnich, a w praktyce nieraz krótszych, kursach pedagogicznych. Jaki jest zakres wiedzy takiego nauczyciela nie trudno sobie wyobrazić. Skutkiem przeprowadzanej obecnie reformy będzie więc z jednej strony ogromne obniżenie i tak niskiego już poziomu szkolnictwa, z drugiej zaś wprowadzenie w miejsce fachowego nauczycielstwa falangi "podkształconych" agitatorów komunistycznych.

Powaga tej sprawy jest być może większa od czysto politycznych zmian wprowadzanych przez komunistów. Jest to pierwszy zasadniczy i na dużą skalę projektowany zamach na kulturę polską, wymierzony w same

podstawy tej kultury. Przy fatalnym stanie finansów publicznych wyniki będą prawdopodobnie tego rodzaju, że gimnazjum zostanie zlikwidowane, na ogół powstanie tylko niższy typ szkoły powszechnej, 4-klasowej a niewyposażone należycie, nie obsadzone żadnymi siłami fachowymi i rzadkie szkoły wyższego zędu — 10 - klasowe, niedostępne na ogół dla wsi, wypuszczać będą niedouków szkodliwego gatunku.

Objawem niepokoju jest stosunkowo słaba reakcja społeczeństwa w Kraju na rozpoczęcie wprowadzania tej destrukcyjnej reformy.

ZJAZD PISARZY NIEMIECKICH

Sprawozdawca amerykańskiego tygodnika *Time* podaje w numerze z 20 października b.r. spostrzeżenia swoje z pierwszego powojennego zjazdu pisarzy niemieckich, który odbył się w Berlinie. Zjazdowi patronowały władze bolszewickie. Przybyli nań pisarze i publicyści niemieccy ze wszystkich stref okupacyjnych.

Sowiecki autor i reporter wojenny Wsiewołod Wiszniewski nie omieszczał w przemówieniu swym wspomnień o "reakcyjnych siłach w Londynie i Waszyngtonie", które "usiłują stworzyć żelazną kurtynę". Ale — zaznaczył mówca — naród sowiecki jest czujny. . . . Wiemy, towarzysze, jak odpowiedzieć. Jeśli będziecie nas potrzebowali, wezwijcie nas o pomoc, a będziemy walczyli razem".

Przemówienie Wiszniewskiego rozdrażniło, zdaniem sprawozdawcy, część Niemców, którzy zwrócili się o replikę do Melvina J. Lasky'ego, korespondenta amerykańskich czasopism *New Leader* i *Partisan Review*, P. Lasky zasiadł do roboty i następnego dnia wygłosił przemówienie, w którym podkreślił znaczenie podstawowych praw, jakie przysługują winnym pisarzom, wydawcy i czytelnikowi. Praw tych należy strzec czujnie, gdyż w przeciwnym razie wraca się do niewolnictwa i wówczas "książki są palone, a pisarze i czytelnicy znajdują się znowu w obozach koncentracyjnych za . . . wypowiedzanie niedozwolonych słów". W dalszym ciągu swego przemówienia Lasky litował się nad ciężką dolą pisarza rosyjskiego, którego nerwy musza być stargane ciągłą niepewnością, czy przypadkiem najnowsza, zrewidowana państwową formuła "społecznego realizmu", "formalizmu", lub "obiektywizmu" nie stała się nagle "dekadentem kontrrewolucyjnym narzędziem faszyzmu". Lasky wyraził współczucie tym pisarzom sowieckim, którzy nagle zostali wyklęci, bo nie pisali ód na cześć nowej "pięciolatki".

Tego już nie mogli znieść spokojnie bolszewicy i komuniści niemieccy. Zaczęto tupać nogami, posypały się wyzwiska. Lasky jednak dokończył przemówienia, które nagrodzone zostało hucznymi oklaskami. Jeden z Niemców, który tłumnie otoczyli mówcę, rzekł: "Dziękuję panu, dziękuję. Wstałbym i powiedział to samo, lecz mam matkę w Wejmarze".

Po wystąpieniu Laskiego w kuluarach między zwyczajcami Niemiec rozpadła się dyskusja. Wsiewołod Wiszniewski wyraził obawę, że będzie musiał brać udział w jesszcze jednej wojnie. Ostrożny jego kolega, Gorbатов, zaczął go mitygować, ale wojowniczy Wiszniewski nazwał Gorbatowa niemądrym optymistą. ". . . Nie umiem sobie wyobrazić jak to (przyszła wojna) będzie wyglądała — perorował Wiszniewski —, Europa i Azja oczywiście są nasze . . ."

"Czy nie zanadto pośpiesznie przywłaszczają pan sobie całą Europę i Azję?" — spytał któryś z Amerykanów.

"Niech Pan nie będzie dziecinny. One już są nasze" — odparł przedstawiciel pisarzy sowieckich.

Całe sprawozdanie ze zjazdu zredagowane jest w taki sposób, że czytelnik może łatwo nabrać przekonania, iż przytłaczająca większość Niemców poprze ideały amerykańskie w pogłębiającym się obecnie konflikcie między Wschodem i Zachodem. Tak jednak z pewnością nie jest. Niemcy mieli aż za wiele sposobności, żeby się przekonać, iż stara ich zasada *Macht vor dem Recht* jest nadal po upadku Prus i hitleryzmu w pełni stosowana przez obydwie obozy zwycięskie i sami zastosują się do niej. Mimo niewątpliwych sympatii dla Zachodu podporządkują się oni całkowicie bolszewikom, jeśli przewaga będzie po ich stronie.

Tak to wygląda współpraca aliancka w dziele redukcji Niemców. Na razie wyniki są takie, że słyszano jak kilku pisarzy niemieckich mruczało: "Może jednak Goebbels miał rację?"

NOWA RZECZYWISTOŚĆ W POEZJI

Słowo Powszechne, organ współpracujących z komunistycznym reżymem "radycznych katolików", od których, mówiąc nawiasem, odciął się ostatnio wyraźnie episkopat polski, poświęciło niedawno jeden z numerów miastu Łodzi. Na str. 4, znajdujemy tam wielki wywiad z "wiceprezydentem miasta", Eugeniuszem Ajnenkiem. Mówiąc o życiu kulturalnym Łodzi, dygnitarz ten powiada m.in.: "Licznie wydawane centralne pisma społeczne, literackie, podnieciły apetyt na sprawę kulturalną i wytworzyły pewną wybredność".

Strona 8 tegoż numeru poświęcona jest "Łodzi w poezji". Znajdujemy na niej przedruki wierszy Dobrzyńskiego, Huzika, Piechala, Kasprowicza, Timofiejewa, a wśród nich poemacik . . . Eugeniusza Ajnenkiela pt. "Kościuszko w Łodzi", brzmiący jak następuje:

*Tys patronował robotniczej Łodzi —
A Tobie wzniosły ten pomnik spiżowy
Robocze ręce i wśród flag powodzi
W święta majowe chyliły się głowy.*

*Z wyszysku rosły Niemców fortuny,
Wysoko się pięły fabryk kominy.
Czy w słońca blasku, czy pożarów łuny
Ty wyżej stałeś, zawsze ponad nimi.*

*Naszą miałeś miłość a ich mienawiść,
Niosłeś nam wolność a oni niewolę —
W rękach mieli broń a w sercu zawiść:
Nie zmieśli Ciebie nawet na cokole!*

*Huk dynamitu . . . aż ziemia jęknęła
gdy padła na nią potężna Twa postać . . .
Pyszne szwabiska dumne z swego dzieła
Chcą Ciebie — ze spiżu, szpicrutą chłostać.*

*Ach! Nie Ty jeden padłeś na ulicy!
Jak dawniej krwią łódzki barwi się bruk!
Na Baluckim Rynku, na szubienicy
W szklane oczy dziada wpatruje wnuk.*

*Ty leżysz . . . idą więźniowie ulicą
Która chodzili lata całe i zimy
I zmęczonym krokiem kamienie liczą:
My . . . nie-da-ru-je-my, nie-za-po-mni-my.*

Takie bywają literackie owoce oportunistu politycznego. Okazuje się, że trudno jest nie tylko pogodzić katolicyzm z nową rzeczywistością ale i poezję z poparciem jałzańskich czynników urzędowych. Wybredna strawa kulturalna wiceprezydenta-poety dowodzi, że *inter subsidia silent musae*.

PAMIĘTAJ,

że "Myśl Polską" czytają rodacy we wszystkich skupiskach polskich rozsiansich po świecie,

że przepisy dewizowe większości krajów nie pozwalają czytelnikom przekazywać prenumeraty,

że wobec tego pokrycie kosztów wydawnictwa maleje.

Jeżeli doceniasz wagę istnienia i rozwoju naszego pisma, opłacaj regularnie prenumeratę oraz zasilaj Fundusz Wydawniczy "Myśli Polskiej".

Wpłaty należy nadsyłać do administracji "Myśli Polskiej."

8, Alma Terrace, Allen Street, London, W.8.

WIT TARNAWSKI

MYŚLI O PROFESORZE CHRZANOWSKIM

SZESĆ przemienilo już lat od czasu, gdy prof. Ignacy Chrzanowski zmarł w obozie koncentracyjnym w Oranienburgu pod Berlinem. W ciągu tych sześciu lat tylu wyginęło luminarzy polskiej nauki, los zmarłego był wspólnym losem tak wielu najlepszych w Polsce ludzi, że gdyby dziś pamięć o Chrzanowskim doszczętnie się już zatarła nie należałoby się dziwić. A jednak kto by przejrzał emigracyjne czasopisma lat ostatnich więcej znajdzie w nich różnych wspomnień o prof. Chrzanowskim, aniżeli o kimkolwiek wybitniejszym nawet i bardziej w Polsce znanym. Dlaczego tak? Chyba dlatego, że nikt może z profesorów naszych uczelni nie był tak kochany, nie umiał tak mocno związać serc uczniów swoich i przyjaciół. Nie ulega wątpliwości, że Chrzanowski stał wokoło czar, wywierał niezapomniany urok osobistością swoją — może nie pażył wielką, ale właśnie taką, której nie można było nie pokochać, albo potem zapomnieć.

Czytałem wiele wspomnień o Chrzanowskim. We wszystkich występuje on żywo i bogato, w otoku celnych anegdot — bo taki był sam: żywy, różnolity, pełen charakterystycznego wdzięku, i ta jego istota narzuca wspominającym o nim styl opowiadania.

Dla mnie jednak prof. Chrzanowski (im bardziej czas oddala mnie od niego, tym lepiej to widzę) jest czymś innym jeszcze, jest typem, jest znamienym symbolem.

Zanim jednak przejdę do uogólnień, do odkrycia w profesorze cech symbolu, chcę powiedzieć w kilku słowach, jaki po prostu był, chcę ująć niektóre z jego charakterystycznych rysów.

Najdawniej chyba pomiętam go jako głos, jako świetnego mówcę, którego sposób wykładu oczarował moją dziecianną jeszcze wówczas wyobraźnię i uczucie. Prof. Chrzanowski miał właściwy sobie sposób półczytania a półmówienia wykładu, jak gdyby czytając dalej go rozsznuwał i raz jeszcze przeżywał. Melodyjny, uczuciowy głos, szlachetny, umiarkowany patos, piękno potocznych zdań, często cytaty z naszych wielkich poetów, wykończenie i umiar całości i dyskretne uderzanie w uczuciowy, najczęściej patriotyczny ton — oto czym odznaczał się wykład profesora.

Po głosie utrwaliła się w mej pamięci na zawsze postać, przez tyle lat co rocznie oglądana. Prosta zarazem i gibka, żywa i dostojna, równie dobrze prezentująca się w todzie profesorskiej, jak w gimnastycznych kostiumach — dorodna postać o dobrej, mądrej twarzy z polskim wąsem i bujną czupryną, niegdyś czarna, a potem już coraz mroczniejszawiejąca.

Jeżeli bym miał scharakteryzować w dwu słowach osobę prof. Chrzanowskiego, powiedziałbym krótko: Europejczyk i Sarmata. Piękny okaz rdzennej polskości i zarazem zachodnio-europejskiej kultury. Co w nim uderzało, to nie tyle nawet wybitność, ile pod każdym względem wysoki poziom tej kultury. Bliski kuzyr Sienkiewicza, miał w sobie coś z jego umiaru, godności i szlachetnej ambicji. Łączyły się w nim niezwykła uprzejmość i uczynność z głębokim poczuciem niezależności i honoru, zmysł sprawiedliwości i prawa z bardzo ludzką tolerancją i wyrozumiałością, nieugiętość zasad ze skłonnością do kompromisu jak długo ów był możliwy, humor często ostry — z dobrocią. Jak na Polaka był pro-

fesor zadziwiająco skromny. Cechowało go zwłaszcza poczucie granic własnej wiedzy. Autorytet w sprawach literatury staropolskiej, już o romantykach wypowiadał się mniej pewnie, a o twórcach wielu pisarzy współczesnych, chętnie i bez żenady zasięgał zdania młodych. Umiar, we wszystkim — umiar cechujący starą, europejską kulturę.

W każdym calu Europejczyk — był nim jednak Chrzanowski na swój własny, polski sposób. Jego skromność, o której właśnie wspominałem, rodziła się z szlachetnej dumy człowieka, który nie pragnie wydawać się czymś więcej, niż jest, ani narzuca się ze swoją wartością, póki jej ludzie sami nie docenią. Swoją fenomenalną pracowitość, jak sam twierdził, zawdzięczał nie konsekwencji ani naukowej rutynie, lecz temperamentowi, nie znosił nudy, próżni i dlatego pracował. Nowator przodujący wśród młodych pozorną śmiałością i niezależnością poglądów był w gruncie głęboko przywiązany do tradycji, złożony nierozzerwalnymi więzami z dwoma odwiecznymi nurtami polskiego życia: miłością ojczyzny i wiarą katolicką.

Najpełniej odśmiała się jego polska natura w gronie przyjaciół i bliskich, z całą swą niedzisiejszą już serdecznością obejścia, szczodra gościnnością, upodobaniem do facecji, nieraz uroczo rubasznym, z umiłowaniem niezależności, aż do przekory. Wtedy zdawał się jakby przeniesiony z kart swojej "Literatury Niepodległej Polski" — jak gdyby ta literatura, którą tak bardzo ukochał, ukształtowała go na swoją dawną, swoistą modłę. Zresztą z przeszłością łączył się nie tylko przez literaturę, przez książki. Ten najżywszy, najmłodszy wśród starszych panów, był równocześnie chodzącą antologią powieści i anegdot o wszystkich naszych wielkich pisarzach z końca XIX stulecia: Sienkiewiczu, Prusie, Reymoncie, z którymi się niegdyś przyjaźnił. Istny pomost między dawnymi i nowymi laty.

Jeżeli literatura, tradycja, temperament wiązały prof. Chrzanowskiego najściślej z Polską, to z szerokim światem łączyły go znów częste wyjazdy do stolic Europy, Paryża czy Berlina (gdzie miał serdecznego przyjaciela, wielkiego Bruecknera), ruchliwość umysłu,

pilnie rozczytującego się w zagranicznej literaturze, zarówno pięknej jak i naukowej, młodość spędzona na uniwersytecie we Wrocławiu.

Nie ulega wątpliwości, że to podwójne źródło: zanurzenia się w staropolskiej literaturze i stałe kontakty z Europą — złożyły się na ten szlachetny stop, jaki przedstawiała osoba prof. Chrzanowskiego. Bo właśnie to w nim najbardziej uderzało — że był równocześnie do głębi polski i europejski, że polskość bujna, sarmacka, zlała się w nim i jak gdyby całkiem pokryła z prawdziwą europejskością.

W czystości tego stopu wyczuwało się jednak coś więcej jeszcze: nie samo przenikanie się lecz zasadnicze pokrewieństwo kultur. Profesor był tak dobrym Europejczykiem przede wszystkim dlatego, że był Polakiem, — oto ostatnie i najgłębsze doświadczenie, jakie wynosiło się z przestawiania z prof. Chrzanowskim.

Wspomnienie to piszę nie tylko przez pietyzm dla zmarłego; nie tylko przez pietyzm tak często o prof. Chrzanowskim teraz myślę. Wydaje się pewne, że straszliwa próba dziejowa, jaką teraz przechodzimy, że presja obczyzny na nas zarówno w Kraju, jak poza Krajem — zostawi ślady w naszym charakterze narodowym i w jakiś sposób nas odmieni, a dawnych wartości naruszyć nie zdoła. Nie ulega bowiem wątpliwości, że mamy wielkie narodowe wady — ale tak samo mamy wspaniałe zalety. Pewne jest również, że broniąc się przed Wschodem, powinniśmy mnożyć w sobie cechy "zachodnie" — ale tak samo niepowetowaną byłoby stratą, gdybyśmy wśród idących przemian ztratili swoisty, polski charakter, dzięki któremu dotąd istniejemy jako naród, bo jeśli naród trwa przez wieki, w bardzo trudnych warunkach, to przede wszystkim dzięki swemu charakterowi. W tej wielkiej przepaści niech piękna postać Chrzanowskiego będzie nam drogowskazem. Niech uczy nas, jak być Polakiem i Europejczykiem równocześnie — jak iść ku europejskiej wspólnotie nie ztracając niczego z siebie.

WIT TARNAWSKI

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

John Brown Mason: THE DANZIG DILEMMA. Stanford University Press, Stanford University. California, 1946. Stron 377.

Prof. Graham H. Stuart w przedmowie datowanej 1 grudnia 1945 r. pisze nie bez pewnej pozy "wielkomocarstwowej", że "raz jeszcze wielkie mocarstwa stoją wobec zagadnienia udzielenia Polsce dostępu do morza poprzez wielkie miasto niemieckie. Dylemat gdański jest ciągle jeszcze niezalutwany, a sprawiedliwie i trwale rozwiązanie będzie wymagało wielkiej mądrości i wizji mężów stanu w ich walce o trwałą i słuszną pokój..." itd.

Po przewertowaniu książki można się zgodzić z opinią przedmówcy, że "John Brown Mason napisał obiektywną i naukową pracę o Gdańsku", przy czym jednak znajomość

języka niemieckiego a nieznamość języka polskiego stawia pewne granice tej obiektywności autora.

Książka w całym swoim założeniu robi jednak wrażenie czegoś bardzo nierealnego, czegoś zgoła niezgranego z wartkim tempem wydarzeń. Jest to studium na temat prawno-konstytucyjny na tle historycznym i w mniejszym stopniu gospodarczym. Książka jest znakomicie udokumentowana i napisana nawet wcale żywo. A jednak autor nie umiał się zdobyć na odtworzenie tego napięcia walki dwóch światów, zderzenia się dwóch przeciwnych prądów o znaczeniu historycznym. Dał tylko sumiennie odważony i szczegółowy opis stosunków polsko-gdańskich, roli Ligi Narodów i jej Wysokiego Komisarza, a całemu eksperymetowi "wolnomiastowemu" przygląda się jako mechanizmowi, interesującemu

KULTURA I ŻYCIE

El Ingenioso Hidalgo — Zasługi Profesora Tarnawskiego —
Kłopot ze słownikami.

CZTERYSTA lat temu urodził się Cervantes, twórca *Don Kichota*. Data jego chrztu (9 października 1547 r) zastępuje rocznicę urodzin: prawdopodobnie przyszedł na świat w dzień świętego Michała 29 września (stąd imię dane na chrzcie), — Alcala de Henares chlubi się teraz przed światem autorem powieści tak uniwersalnej, jak epos Homera o Odysseuszu.

Przebiegły, odważny, a przytem i tragiczny Odysseusz czekał stulecia na duchowego brata, aż spotkał go w dniu, kiedy Alonso Quijano, maniak rozczytujący się w opowieściach rycerskich, przybrał godne imię *don Quijote de la Mancha* i w groteskowej zbroi wyruszył na podbój wyobraźni. Ten nowy Odysseusz chowa pod przyłbicą twarz o powadze tak doskonałej, że humor istnienia, który jest przecież naruszeniem rzeczywistości przez wyobrażnię, znieszczałca rysy bohaterkie, myli je z powikłanymi rysami życia, wytrąca powagę statyzmu i rzuca szalonego rycerza w arcyczwolwiecy zamęt groteski.

Czym jest bohater spod wiatraków?

Wielością życia, potwierdzeniem prawdy poetyckiej, że twory wyobraźni nigdy nie są jednoznaczne, że od realizmu do obłądu jest tak daleko, jak od heroizmu do śmieszności.

Los que buscan aventuras no siempre las hallan buenas — ci, którzy poszukują przygód, nie zawsze znajdują w nich łatwy sukces, przyjemność, nie zawsze patrzą chwałę twarzą w twarz, gdzieś na pograniczu przygody i nudy czyha zawsze śmiejąca się groteska. Sancho Panza, fantasta o pozorach wulgarności i rzeczowości, rozumie doskonale prawa wojenne groteski, z których najważniejsze mówi, że walczyć znaczy przegrzywać, a szukać znaczy błądzić. Świat nosi przyłbicę wyobraźni: odsuń zasłonę, a zobaczysz grymas śmiechu. Bez przyłbicy wyobraźni jednak śmiech ten nic ma sensu metafizycznego, — staje się koszmarem.

Otóż dzieje Don Kichota nie są koszmarem, ale chrześcijańskim odkupieniem heroizmu przez wolną wolę śmiechu — patrz, mówi rycerz fantasta, patrz zuchwale na prozaiczną powszedniość, oto twoja popca! Wystaw siebie na śmiech, a zahartujesz własną godność. Honor poety jest honorem, rozchwianym na czulych szalach groteski.

Poza problemem donkiszoterii istnieją drobne sprawy, dotyczące samej książki, a więc dzieła literackiego, zamkniętego w czasie i uwarunkowanego tłem epoki. Rocznicą Cervantesa przypomina najróżnicze dyskusje, toczone wokół dwu części hiszpańskiego klasyku. Te dwie części zachowują jedność, mimo różnic w tonacji: Menendez y Pelayo, wielki uczony hiszpański, powiada o pierwszej, że jest *genialmente inspirada*, a o drugiej, że jest *divinamente reflexiva*. W obu określeniach mięści się istota tworzenia poetyckiego, bez tych elementów inspiracji-wyobraźni i refleksji-intelektu nie może być mowy o harmonii,

Dokończenie ze str. 14

Przechyleniem obie szczeliny pęknięcia robiły się coraz szersze, coraz dalej się rozchylały. Kręgosłup "Garlanda" był złamany; — obie połowy okrętu utrzymywał jeszcze cienki naskórek pokładu. Wiedzieliśmy, że po kilku takich zgięciach okręt rozpadnie się z jak złamany drut."

Książka, doprawdy, warta przeczytania.

j.g.

o jedności wewnętrznej dzieła literackiego.

Tytuł powieści Cervantesa jest także sprawą często podnoszoną, a mianowicie pisownia nazwiska bohatera w różnych językach europejskich. Polacy, za Francuzami, mówią o Don Kiszocie; Anglicy zaś, którzy pierwsi przetłumaczyli arcydzieło hiszpańskie (Shelton w 1612 r, jeszcze przed ukazaniem się drugiej części) obstał przy Quixote. Hiszpańskie brzmienie litery "j" w dzisiejszej wersji *Don Quijote* odpowiada polskiemu "h", oryginalna jednak pisownia tytułu Cervantesa posiada "x" (*El Ingenioso Hidalgo Don Quixote etc*) Jak wymawiano owe "x" na początku siedemnastego wieku? Czy jak francuskie "ch", czy też istniała analogia dźwiękowa między symbolem "x" i dzisiejszym "j"? W sprawach fonetyki subtelności odchylen są bardzo ważne. Można się więc sprzeczać czy lepiej po polsku wymawiać Don Kichot (z dźwiękową wartością naszego "ch"), czy też, wedle przyjętej pisowni — Don Kiszot.

Czytelnik polski, skoro rozmiłowany jest w dziełach rycerza hiszpańskiego, powinien zainteresować się także nowelami i dramatami Cervantesa. *Novelas Ejemplares* zawierają perły stylistyczne, a głęboki humanitaryzm (zamiast szowinizmu) Cervantesa przebija szczególnie w jednej z nich, opisującej porwaną Hiszpankę przez Anglika w czasie walk o Cadiz (*La española inglesa*). W interludium *El juez de los divorcios* przewiduje na cztery wieki z góry istnienie specjalnego sądziego od rozwodów (w typie amerykańskim). Dramat o zbiorowym samobójstwie (*La Numancia*) przypomina koncepcję teatralne niektórych społeczników w rodzaju Hauptmanna, czy też komunisty Ernsta Tollera (*Masse-Mensch*), bohaterem dramatu Cervantesa jest miasto, skazane na zagładę, które jednak nie idzie w samobójstwo na oślep, ale dopiero po bezskutecznych próbach honorowej rozgrywki.

I jeszcze jedno pobożne życzenie.

Może któryś z wydawców polskich pokusi się o przedruk Don Kichota w przekładzie Boyego?

*

Wyrokiem komunistycznego sądu skazany został na długie więzienie najwybitniejszy z żyjących anglistów polskich, profesor Władysław Tarnawski. Był on jedyną nadzieją odrodzenia anglistyki po wojnie.

Pracę naukową Tarnawskiego cechowała zawsze duża sumienność, umiejętność właściwego informowania, wziętość wypowiedzi i ogromne, zaiste, czytanie. Jako autor dwutomowej historii literatury angielskiej (1200 stron!), doprowadzonej po wielu latach drobiazgowej pracy do czasów Burnsa (a więc obejmującej ważny dla zrozumienia Anglii wiek osiemnasty) Tarnawski dokonał więcej, niż którykolwiek z poprzedników naszych anglistów: dał studentowi polskie obraz przedmiotu we właściwej perspektywie. Podręcznik Tarnawskiego nie jest kompilacją, choć informacyjnie stoi na wysokim poziomie, zawierając wybór najważniejszych opinii o poszczególnych dziełach. Profesor polski starał się zachować własny, oryginalny pogląd na każdy aspekt literatury angielskiej: stał personalny ton znakomitych komentarzy Tarnawskiego.

Do prac popularyzujących pisarzy angielskich należą studia Tarnawskiego o Marlowe (Warszawa, 1922) i Szekspirze (dla młodzieży i dorosłych, Lwów, 1931), oraz essay *Szekspir katolikiem?* (Lwów, 1938). Tarnawski tłumaczył także z angielskiego na polski, ale w efektach poetyckich raczej zawodził (np.

Antoniusz i Kleopatra, 1922); proza jego przekładów jest natomiast bez zarzutu. Tom szkiców *Z Anglii współczesnej* (Lwów, 1927) zawiera przenikliwą ocenę charakteru brytyjskiego z bardzo znamiennym zakończeniem oraz gruntowną analizę *Dynastów Hardy'ego*.

Wczesnym, ale chyba najbardziej trwałym ze wszystkich dzieł Tarnawskiego, jest drobiazgowy studyum *O przekładach dramatów Szekspira* (Kraków, 1914), które ustaliło sprawiedliwą hierarchię między tłumaczami polskimi, dając — oprócz rzeczowego opisu tekstów — syntetyczne uwagi o języku oryginału i tłumaczenia.

Żeby zastąpić ulotne obserwacje różnych polskich reporterów na temat Anglii czymś naprawdę solidnym i godnym czytania, należałoby przedrukować czołowe studyum Tarnawskiego z tomu *Z Anglii współczesnej*: mimo dwudziestu lat od czasów wydania książka ta w refleksjach swoich nie zwietrzała.

*

Skoro raz po raz wysuwamy apel pod adresem wydawców i wydawnictw polskich na emigracji, należy bez owijania w bawełnę wypowiedzieć sąd o przedrukach słowników polsko-angielskich. Tym bardziej, że ostatnio Orbis wydał w Londynie słownik firmy Trzaski, Evcra i Michalskiego. Po licznych przedrukach miernego słownika Stanisławskiego spodziewaliśmy się publikacji sumiennej, a nie jeszcze jednej odbitki przestarzałego wydania bez najmniejszych choćby korektur i uzupełnień. Wydawcy londyńscy znów poszli drogą łatwą, choć niewątpliwie zyskową (słownik nie grzeszy taniocścią).

W rezultacie otrzymaliśmy rzecz, nie uwzględniającą nowej pisowni, co — z uwagi na młodzież uczącą się zarówno polskiego, jak i angielskiego na obczyźnie, — przyczyni się tylko do powiększenia chaosu w naszej emigracyjnej pisowni. Nie poprawiono takich starych dziwołogów jak *Brytańczyk* (British), oraz nie wprowadzono nowych zwrotów i technicznych określeń. Dla Anglika, studiującego polski, oba słowniki przedstawiają nikłą wartość: ich wady można w ten sposób zsumować: (a) przy czasownikach nie znajdujemy form zasadniczych; (b) idiomy i wymowa nie są ścisłe; (c) reforma pisowni nie została uwzględniona.

O groteskowych efektach słownika Stanisławskiego pisał już przed rokiem p. Łaszkiewicz (w *Skrzydłach*). Nie wdając się w odpowiedzi znaczyć, zwracamy uwagę na wadliwy układ całej tej kompilacji: oto Stanisławski nie uwzględnia zupełnie różnic między słowami, a kieruje się identycznością literową; tak np. pod *bark* (Skand.) znajdujemy zarówno "korę", jak i "szczekac" (star.ang. *beorcan*); pod *stable* zarówno "stajnię" (łac. *stabulum*), jak i przymiotnik "trwały" (łac. *stabilis*).

Orbis mógł naprawić błędy Minerwy i zdobyć się na przedruk przejrzany, oczyszczony i uzupełniony: niestety — wydawcy poszli drogą najmniejszego oporu. Skoro chcieli się drukować starzyzną, można było sięgnąć po dziewiętnastowiecznego Chodźkę — on i lepszy i zabawniejszy!

Na tle tym odbija po raz piąty wydana *A New Polish Grammar* J. A. Teslara, książka z prawdziwego zdarzenia! Teslar zna swój przedmiot doskonale i umie posługiwać się psychologią: jeśli cudzoziemiec nauczy się możliwie szybko polskiego, to tylko z podręcznika Teslara.

J.P.

Londyn, 20 października 1947.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy.)

TŁUMACZENIE INTERESUJĄCEGO DZIEŁA

Szanowny Panie Redaktorze.
Chciałbym za pośrednictwem *Myśli Polskiej* podzielić się z czytelnikami tego pisma następującą wiadomością: p. Bohdan Gajewicz przetłumaczył na język polski dzieło Baltazara Gracjana p.t. *El Oraculo Manual*.

W ten sposób chce przypomnieć tłumacz czytelnikowi polskiemu zapomnianego u nas autora hiszpańskiego i jego książkę. Trudno by tu było nawet mówić o "przypomnieniu", bo ostatnie tłumaczenie Gracjana po polsku dokonane przez Waclawa hr. Sierakowskiego, proboszcza katedralnego krakowskiego, ukazało się w roku 1802 przekład B. Gajewicza byłby zatem dla przeciętnego czytelnika polskiego odkryciem tego hiszpańskiego autora.

El Oraculo Manual stanowi zbiór maksym, dotyczących zasad i sposobu postępowania politycznego w świecie. Maksymy te wydane zostały w Hiszpanii w roku 1647. W roku 1648 przetłumaczył je na język francuski Amelot de la Houssaie i dał księdze tytuł: *L'Homme de Cour*. Na tym wydaniu francuskim oparł się w głównej mierze polski tłumacz.

Baltazar Gracjan urodził się w roku 1601 w Catalayud w Aragonii. Miał lat osiemnaście, kiedy wstąpił do Zakonu Jezuitów. Mieszkał głównie w Heusca, gdzie na dworze Vincencio Juan Lastanosa znalazł zrozumienie dla swych poglądów i poparcie dla swych zamiarów wydawniczych. Później, kiedy był już sławny, przebywał Gracjan czas jakiś na dworze Filipa IV. W zakonnie nie miał życia łatwego, wpadając w zatargi z przełożonymi. Umarł w roku 1658. Napisał szereg dzieł, wśród których poczynność i sławę zyskały *El Heroe* — 1637 i *El Oraculo Manual* — 1647.

To ostatnie dzieło, głośne w swoim czasie, czytane jeszcze było wśród elity intelektualnej w Europie w wieku XVIII, później zaległa o nim i o jego autorze głęboka cisza. "We Francji cały wiek XIX nic o Gracjanie nie wie" — stwierdził francuski krytyk, André Rouveyre. Francuzi przypomnieli sobie B. Gracjana dopiero w roku 1924; w tym roku właśnie André Rouveyre powtórzył tłumaczenie Amelot'a, wydane u Bernarda Grasset w Paryżu.

W roku 1947 p. B. Gajewicz dokonał tłumaczenia polskiego.

Tłumacz niewątpliwie opowie nam sam o historii odnalezienia maksym Gracjana i podzieli się z czytelnikami *Myśli Polskiej* rezultatami swoich dociekań o autorze i dziele. Należy się nam od niego tego rodzaju rozprawa, gdyż wiem, iż tłumacz zgromadził o Gracjanie ciekawy materiał, który pozwoli mu skreślić żywy portret jezuitę hiszpańskiego i pokazać go na tle porównawczym Castiglione'a, Machiavela, La Rochefoucaulda. Można sobie wyobrazić, jak ciekawe wnioski dadzą się wysnuć z takiego zestawienia.

Kiedy mi tłumacz czytał po raz pierwszy Gracjana w czystej i mocnej polszczyźnie, doznałem dziwnego wrażenia.

Wydało mi się, że oto jakiś wielki mędrzec stanął pośrodku naszego dnia i naszej rzeczywistości, pełnej tumultu i fałszu, i spokojnym głosem odważa ludziom ich miarę i wartość ich czynów. Robi to bez gniewu, ale z przerażającą przenikliwością, wiadomością wszystkich tajemnic duszy ludzkiej i wszystkich naszych pobudek. Dowiedziałem się,

że mędrzec jest jezuitą, że nazywa się Gracjan, i że liczy sobie tylko lat . . . trzysta.

Aktualność Gracjana narzuca się od pierwszego zdania pierwszej jego maksymy. Jest to poprostu brewiarz dla każdego ze współczesnych, który walczy i szuka najskuteczniejszych środków w postępowaniu z ludźmi, w jednaniu sobie przyjaciół i unikaniu zbytecznej niechęci i nieprzyjaźni. Znać ludzi i zachować równowagę, walczyć z wrogiem jego bronią, nabyć doświadczenia, a nie wyzbyć się bezinteresownego zapału, stać się zręcznym, a uchronić się przed cynizmem i przewrotnością — oto nauka Gracjana.

Jest to naprawdę bardzo szczęśliwa okoliczność, iż mędrzec hiszpański będzie mógł odczuwać się do nas po polsku.

Trzeba życzyć z całego serca, by dzieło Gracjana stało się jak najprędzej powszechnym dobrem całej inteligencji polskiej.

Proszę, Panie Radaktorze, przyjąć wyrazy mego prawdziwego szacunku

WŁADYSŁAW PELC
Paryż, 4 października 1947.

BRYGADA KARPACKA

Szanowny Panie Redaktorze,

Wielki zaszczyt sprawia mi recenzja "Setnego" z broszury o Brygadzie Karpackiej, zamieszczona w nrze październikowym *Myśli Polskiej*. Przyjmując z wdzięcznością wszystkie jej uwagi krytyczne, muszę jednak obronić się przed niektórymi.

Praca posiada charakter popularny i przeznaczona jest dla rozchodzących się po świecie Karpaczyców. Trudno więc było zmieścić w niej obszerniejszy materiał historyczny, co jest zresztą zamiarem innego wydawnictwa. Przyznam jednak, że zupełną rewelacją jest dla mnie informacja o decyzji gen. Gamelin w sprawie formowania BSK już w grudniu 1939, jak i kwestia użycia Brygady do działań w Syrii w r. 1941.

Natomiast nie mogę zmienić zdania o "pierwszym pełnym zwycięstwie jednostki polskiej po Wrześniu 1939". Celowo nazwałem je pełnym, mając na uwadze niepełne, choć pierwsze, zwycięstwo polskie pod Narwikiem. Gazala jest bowiem wyłącznie dziełem Brygady Karpackiej, podczas gdy udział Brygady Podhalańskiej pod Narwikiem jest tylko fragmentem koncentrycznego działania znacznie większych sił alianckich, Narwik skończył się odwrotem, Gazala operacyjnie zdecydowała o wycofaniu sił Osi aż do Trypolitanii i o pościgu Sprzymierzonych. Dlatego Gazala była pełnym zwycięstwem, Narwik niepełnym.

Oczywiście, że straty nie dowodzą wartości strategicznych. Brygada Karpacka w stosunku do swych działań i okresu pobytu na froncie (7 miesięcy), nie mówiąc o długim okresie bezustannego bombardowania pod Aleksandrią i w Mersa Matruh, miała straty zadziwiająco małe. Często zdarzało się później w kampanii włoskiej, że znakomite zwycięstwa opłacone były wyjątkowo małą ofiarą krwi. Bywają też olbrzymie straty — daremne.

Jeszcze jeden drobniaczek. "Salient" znaczy "występ", coż kiedy obłączeni widzieli występ jako "wyłom"? Stąd stale określano w Tobruku pozycję Medauaru — wyłomem. Jednak inne jest spojrzenie strategów, a inne żołnierzy.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania
JAN BIELATOWICZ

Chippenham Camp,
dnia 15 października 1947.

KSIĄŻKI NADEŚLANE

Ks. Józef Warszawski: **MYŚL JEST BRONIA**. Solingen-Ohligs, 1947. I Dywizja Pancerna i Anglo-Polish Catholic Association. Stron 263. Cena 12s.

MAŁA ENCYKLOPEDIA POJĘĆ SPOŁECZNYCH. Londyn, 1947. F. Mildner and Sons. Stron 100. Cena 5s.

Jerzy Szczepańczyk: **PARTYZANCKIM SZLAKIEM**. Hamburg. 1947. Strażnica. Stron 204.

Władysław Wielhorski: **POLSKA A LITWA**. Stosunki wzajemne w biegu dziejów. Londyn, 1947. The Polish Research Centre Ltd. Stron 376.

Marian Hemar: **MARCHEWKA**. Pamiętnik satyryczny. Londyn 1947, Orbis (London) Limited, 38, Knightsbridge, London, S.W.1. Stron 137.

Marian Hemar: **SATYRY PATETYCZNE**. Londyn 1947. Nakładem Klubu Orla Białego. Stron 51.

PRZEGLĄD POLSKI, Półrocznik oprawy: styczeń 1947—czerwiec 1947. Nakładem Contemporary Life and Culture, Ltd.

POLOGNE 1919-1939. Volume III: Vie intellectuelle et artistique. Neuchatel, 1947. Edition de la Baconniere. Stron 782. Cena 24 fr. szw.

R. Hausner, L.L.M.: **LEGAL ASPECTS OF THE PRESENT SITUATION IN POLAND**. Londyn, 1946. The Polish Lawyers' Association in the U.K. Stron 28.

S. Z. Tomczak: **SOVIET ECONOMIC EXPERIMENTS IN POLAND**. Newton, 1946. Montgomeryshire Printing Company, Ltd. Stron 88. Cena 3s. 6d.

Aleksander Czesław Melen: **LE DROIT DES GENS ET LE SYSTEME DU DROIT POLONAIS**. Fribourg, 1945. Stron 120.

Treść Nr. 116 [Rok VII, Nr. 11] "Myśli Polskiej":
PLANY KOMUNISTÓW; CELE I ŚRODKI — Jerzy Górski; **EFEKTY ŚWIETLINE** — Wiktor Tróscianko; **NEOLIBERALIZM GOSPODARCZY** — W. W.; **Z MATERIAŁÓW DO ZAGADNIENIA UKRAIŃSKIEGO** — M.R.; **ZIEMIA NIEOBESZŁA** — Marian Pankowski; **POLSKA I JEJ SASIEDZI** — Tadeusz Piszczkowski; **UWAGI: Zwycięstwa de Gaulle'a** — Rozgrywka amerykańsko-rosyjska — Demonstracja Politbiura w Warszawie — Tezy abstrakcyjne — Szkodliwe wystąpienia — Ucieczka Mikołajczyka — Tendencje sugesty — Jak jest naprawdę — Niszczenie szkoły — Zjazd pisarzy niemieckich — Nowa rzeczywistość w poezji; **MYŚLI O PROF. CHRZANOWSKIM** — Wit Tarnowski; **PRZEGLĄD WYDAWNICTW; KULTURA I ŻYCIE; LISTY DO REDAKCJI**: Tłumaczenie interesującego dzieła — Władysław Pelc, Brygada Karpacka — Jan Bielatowicz; **KSIĄŻKI NADEŚLANE**.

"MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie,
ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street,
London, W.8. Tel. WESTern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów)
12s. lub 8s.

Prenumerata roczna (12 numerów) —
£1. 4s. 0d. lub 8s.